

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 7 października 1905 r. Nr. 41.

Krwawe zajście na placu Bernardyńskim we Lwowie.

(Do artykułu na stronie 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Krwawe zajście na placu Bernardyńskim we Lwowie.

(Do illustracyi tytułowej).

Władze, jeżeli chcą godnie odpowiedzieć swemu zadaniu, muszą się przedewszystkiem starać o uzyskanie poważania i poszanowania dla siebie ze strony publiczności. Tyczy to szczególniej organów bezpieczeństwa, władz, którym powierzono spokój i bezpieczeństwo, a więc w miastach przedewszystkiem policyi. Tymczasem niejednokrotnie już mieliśmy sposobność się przekonać, że właśnie organy policyjne, mające czuwać nad spokojem w większych miastach, stają się bardzo często same przyczyną awantur, a nawet krwawych zajść, które się odbijają dotkliwie na publiczności, a na policyę samą rzucają bardzo złe światło. Nie można w takich wypadkach zwalać winy stanowczo na samą policyę, ale przyznać musimy, że policya, tak we Lwowie, jak i w Krakowie, nie odznacza się zbytkiem taktu i umiejętności zażegnywania awantur, a właśnie takt z jej strony jest najbardziej potrzebny. Wskutek tego właśnie braku powstają narzekania na policyę, a ponieważ w czasie awantur krzywdę ponoszą zazwyczaj i ludzie niewinni, nawet przechodnie, przeto utrwala się przekonanie, że policya, która jest obowiązaną stać na straży prawa i porządku, nie dorosła do swego zadania, że nie wszczepia się w urzędników policyjnych należytego wyobrażenia o ich obowiązkach i że pobłażliwością w licznych wypadkach do coraz nowych zachęca się ich wybryków.

Świeży przykład takiej nieumiejętności i niezdolności w postępowaniu policyi w czasie awantur, mieliśmy w dzień św. Michała, patrona Galicyi, we Lwowie. Przebieg tej krwawej awantury przedstawia się następująco:

Około godziny trzeciej po południu wybuchła na rogu placów Bernardyńskiego i Halickiego, sprzeczka pomiędzy czterema rzemieślnikami, którzy, podnieceni nieco alkoholem z okazyi święta patrona krajowego, rozpoczęli bójkę na pięści i na słowa, notabene nie bardzo parlamentarne. Wokół bijących się zgromadziła się, jak zazwyczaj gromada gapiów, która wzrosła z każdą minutą.

Interwencya policyanta spełzła na niczem, walka bowiem stawała się coraz zaciętszą. Nadszedł drugi policyant i chciał razem z towarzyszem aresztować zaciekłych zapaśników, co z ich strony spotkało się z wielkiem niezadowoleniem. Murarz Antoni Kłapiński, rzucił się na żołnierza, chcąc mu wydrzeć szablę, przyczem poranił sobie rękę. Widok krwi przeraził towarzyszów Kłapińskiego, to też korzystając z zamieszania, umknęli. Kłapińskiego po długiem szamotaniu ubezwładniono i z wielkim trudem wsadzono do doróżki. Ale wówczas zareagował tłum, który postanowił odbić aresztowanego, wobec czego policyanci schronili się razem z aresztowanym do bramy hotelu Warszawskiego. Tłum pospieszył za nimi, ale zastał bramę zamkniętą. Poczęto więc dobijać się do bramy.

To wywołało z wnętrza budynku jednego z żołnierzy, który z dobytą szablą wpadł w tłum i począł rąbać na wszystkie strony, raniąc dotkliwie kilku ludzi. Pod naporem tłumu żołnierz cofnął się do bramy komendy korpuśnej, a równocześnie na plac walki przybył komisarz policyi, z silnym oddziałem żołnierzy pieszych. Przybycie jego położyło kres rozlewowi krwi i uspokoiło nieco wzburzony tłum.

* * *

Ilustracya nasza zamieszczona na stronie tytułowej, przedstawia chwilę, kiedy żołnierze walczą z tłumem przy bramie hotelu Warszawskiego.



Fot. M. Münz. Lwów.

Przed odsłonięciem pomnika Głowackiego we Lwowie: Projekt pomnika według pomysłu ś. p. J. Markowskiego.

Przed odsłonięciem pomnika Głowackiego we Lwowie.

Stolica Galicyi pozyska w najbliższych dniach nowy pomnik, mianowicie pomnik bohatera z pod Racławic. Stanie on na skraju parku Łyczakowskiego, jednego z najpiękniejszych parków we Lwowie. Roboty wstępne około budowy pomnika rozpoczęto jeszcze w połowie września, a w ubiegłym tygodniu rozpoczęto już pracę około ustawienia figury bohaterskiego kosyniera na podstawie. Prawdopodobnie w połowie bieżącego miesiąca odbędzie się uroczyste odsłonięcie pomnika.

W poprzednim numerze podaliśmy fotografię pomnika, wykonanego przez rzeźbiarza p. G. Kuźniewicza wiernie według projektu ś. p. Markowskiego. Projekt ten został nagrodzony przez komitet budowy, p. Kuźniewicz wykonał więc pomnik ściśle według projektu.

Projekt ten zaś uderzał przedewszystkiem szlachetnością postaci bohatera z pod Racławic, z którego twarzy szlachetnem męstwem i poczuciem swej siły gorejącej, bije zapał, jaki musiał bić z ócz bohatera, wówczas, kiedy na czele kosynierów szedł na moskiewskie armaty. Koszula na piersiach rozpięta, wystawiona dumnie przeciw kulom nieprzyjacielskim. Wiatr rozwiał mu sukmanę, tak, że ten bohater zda się być nie człowiekiem, ale jakimś aniołem pomsty i zniszczenia, taka moc i zapał bije z tej całej postaci. Można śmiało powiedzieć, że jest to jeden z najpiękniejszych pomników na całej polskiej ziemi, prawdziwe dzieło sztuki, dzieło artysty, który duszą swoją odczuł duszę bohatera z pod Racławic i postaci jego nadał takie kształty, w jakich go sobie wyobrażał duchy oczyma.

Przedwczesna śmierć nie pozwoliła projektodawcy zająć się wykonaniem pomnika. Zadania tego podjął się jednak zdolny i równie wrażliwy artysta, p. G. Kuźniewicz, z którego pracowni wyszedł pomnik, jaki w najbliższych dniach stanie obok parku Łyczakowskiego. Pomnik ten wykonany jest wiernie według projektu śp. Markowskiego.

W uzupełnieniu artykułu podajemy fotografię projektu pomnika



Fot. E. Pierzchalski. Kraków.

Wycieczka oddziału kolarzy „Sokoła“ krakowskiego do Chełmka: Grupa kolarzy, zebrana przed gmachem „Sokoła“ przy ulicy Wolskiej przed odjazdem.

Wycieczka kolarzy „Sokoła“ krakowskiego do Chełmka.

Ruchliwy i energiczny wydział oddziału kolarskiego w „Sokole“ krakowskim, może snadnie służyć za wzór innym stowarzyszeniom cyklistów.

Niema prawie niedzieli ani święta, w którejby kolarze, sokoli krakowscy, nie urządzili czy to wyścigów, czy wycieczki mniejszej lub większej. O ile tedy jeno pogoda dopisze, dzielna drużyna sokola wyrusza na „maszynach“ poza Kraków, aby odetchnąć czyściejszdm powietrzem, aby się wspólną wesołą pogawędką i w czasie jazdy i podczas wypoczynku rozerwać, otrząsnąć ze szarzyzny codziennego życia i przez chwilę bodaj żyć innem, lepszem życiem. Nie trzeba przytem zapominać, że jazda na kole jest zarazem bardzo dobrem ćwiczeniem gimnastycznem, że więc te wycieczki są nie tylko przyjemne, ale i pożyteczne.

Wspomnieliśmy w poprzednim numerze o wycieczce sokolego oddziału kolarskiego do Wieliczki. W ubiegłą niedzielę urządził ruchliwy wydział tego oddziału wycieczkę do Chełmka za nagrodami. Długość drogi wynosiła około 100 klm. Start był w Chełmku. Wyjazd nastąpił o godzinie 8 rano z przed gmachu „Sokoła“ krakowskiego przy ul. Wolskiej. Dzięki prześlicznej pogodzie, zebrała się pokaźna liczba członków, którzy wzięli udział w wycieczce.

Ilustracya zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia grupę kolarzy, zebraną przy gmachu „Sokoła“ przed wyjazdem do Chełmka.

Uczciwy Rosyanin.

Wiadomo, że teatry warszawskie są instytucyą rządową i chociaż dramaty i komedye grywają po polsku i mają tylko polskich aktorów, to jednak otrzymują stale od lat wielu na prezesa jakiegoś generała rosyjskiego, nietylko nie mającego pojęcia o sztuce, ale nie umiejącego nawet po polsku.

Dziwić się więc trudno, że taki pan generał na stanowisku prezesa teatrów warszawskich cieszy się sympatyą co najwyżej tylko baletnic, które obsypuje cukrami i rublami, na co stać go tem łatwiej, ile że gospodarując bez kontroli, zdoła zwykle zarobić na tym intratnym urzędzie grube pieniądze, po za bajońskimi sumami swojej pensyi rocznej.

Wyjątkowo w r. 1898 powołał na to stanowisko zmarły genereł-gubernator książe Imeretyński człowieka innego, niż jego poprzednicy i dzisiejsi następcy. Tradycyi urzędowej stało się zadość, bo był nim również generał i Rosyanin, ale Rosyanin niezwykle uczciwy i Polakom szczerze przychylny, a zarazem człowiek wysoce, wykształcony, znający język polski i mający pewne pojęcie o teatrze.

Mówimy o generale P. M. Iwanowie, zarządcy pałaców cesarskich w Królestwie Polskiem i administratorze księstwa Łowickiego, który na stanowisku prezesa dyrekcyi teatrów rządowych w Warszawie od r. 1898 do 1891, cieszył się wyjątkową sympatyą i poważaniem szerszych kół polskich, dzięki zaletom swego charakteru, uprzejmości, taktowi i rzadkiej uczynności dla wszystkich, co się do niego zwracali.

Po ciężkiej chorobie zmarł śp. Iwanow w ubiegłym tygodniu w Skierniewicach, zaledwie lat 50 przeżywszy, a zgon jego przedwczesny wywołał, zwłaszcza wśród aktorów polskich w Warszawie, żal szczery, czego dowodem był pogrzeb generała w letniej rezydencyi cesarskiej w Skierniewicach, na który teatry nasze przysłały liczne wieńce, bynajmniej nie z urzędowego obowiązku, a nad grobem byłego prezesa wygłosili serdeczne mowy żałosne: reżyser teatru „Nowości“ w Warszawie, p. Ludwik Śliwiński, oraz pierwszorzędny artysta warszawskiego teatru „Rozmaitości“, dobrze Krakowianom znany, p. Józef Śliwicki. Ten przemówienie swoje zakończył niezwykłemi w stosunkach Królestwa Polskiego słowami: „Oby Ci lekką była ziemia, której byłeś szczerze przychylny!“

Stowarzyszenie austr. dostawców dworu.

Tytuł „dostawca dworu“ to dla kupca i przemysłowca największa, a raczej najcenniejsza nagroda za pracę. Cesarz nagradza tym tytułem jedynie tych kupców i przemysłowców, którzy przez dobroć i jakość produkowanych towarów wybili się i tem zyskali powszechne uznanie.

Z okazyi 75 rocznicy urodzin cesarza Franciszka Józefa I. odbył się tego roku w Wiedniu zjazd austryackich dostawców dworu. Myślą przewodnią zjazdu był projekt zawiązania stowarzyszenia dostawców dworu, którego głównym celem ma być praca nad zapewnieniem pomocnikom handlowym i pracującym w przemyśle, ubezpieczenia na starość, ażeby ludzie ci, którzy siły stracili przy handlu, czy przemyśle, mieli starość zapewnioną. Projekt ten ma ogromne znaczenie socyalne i ekonomiczne i przyznać trzeba, że, jeżeli chodziło o uczczenie cesarza w jubileuszowym roku jego urodzin, to uczczenie go w ten sposób było najszlachetniejszem i najtrafniejszem.

Zjazd odbył się w wielkiej sali restauracyi Sachera w Praterze, a zakończył się bankietem, w którym, oprócz dostawców dworu wziął udział burmistrz miasta Lueger, prezes stowarzyszenia hr. Dubsky, zaś ministrowie Gautsch, Bylandt Rheidt i namiestnik Kielmansegg usprawiedliwili swą nieobecność.

Uchwały zjazdu, ogromnie żywotne i dla pracowników handlowych i przemysłowych ogromnej wagi, zostały poniekąd wprowadzone w życie odrazu na zjeździe. Członkowie w liczbie przeszło 1.500 zapewnili zebranie około półtora miliona koron. Kapitał ten zostanie złożony do kasy, a odsetki będą przeznaczone na wsparcia dla tych pracowników handlowych w całych Austro-Węgrzech, którzy przez lat 20 stale w jednej pracowali firmie. Działalność nowego towarzystwa wejdzie w ruch z dniem 2 grudnia, to jest w dniu wstąpienia na tron cesarza Franciszka Józefa I.

Do komitetu wykonawczego, składającego się z 12 członków, wybrano między innymi jednogłośnie, znanego zaszczytnie w kraju i zagranicą kupca, p. Franciszka Macharskiego, właściciela firmy A. Hawełka w Krakowie P. Macharski był jedynym Polakiem na tym zjeździe, a zaszczyt jaki go spotkał, że z tylu członków Towarzystwa jemu powierzono tak zaszczytny urząd, jest tylko dowodem, że p. Macharski zdobył sobie wielkie poważanie i uznanie za swoą pracę.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię grupy uczestników zjazdu z burmistrzem miasta Wiednia dr. Luegerem na czele.



Stowarzyszenie austryackich dostawców dworu: Grupa uczestników Zjazdu austryackich dostawców dworu we Wiedniu.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

19 (Ciąg dalszy).

— Nie, dziękuję wam... jeszcze wziąłby mnie ktoś za inną, bliższą wam i powstałyby plotki na niewinną — zaśmiała się.

Edmund poczerwieniał i rzekł:

— Ta inna nie chodzi po nocy i nie zmienia przekonań...

— Jak my, Olgo! — uśmiechnęła się — Do widzenia!

Gdy byli sami w przedpokoju, po odprowadzeniu Heleny, powiedziała Olga:

— Nie byłeś zbyt uprzejmy, Edmundzie.

— A jej wolno mi dokuczać?

— Zażartowała tylko.

— Stajesz w jej obronie, bo jesteście z tej samej partyi — odburknął.

Olga miała ochotę powiedzieć mu, że on z partyi Fanny, ale zmilczała i przeszła do swego pokoju.

W kilka dni później, Żalecki, w nowym garniturze, z przyciętą czupryną i brodą, wzbudził podziw i zainteresowanie na wykładzie. Posypały się różne koncepty i uwagi na temat spadku milionowego, starania się o bogatą pannę, a Waldman szepnął półgłosem:

— To prezent P. P. S., za ich srebrniki.

Żalecki spokojnie podszedł do uchylającego się Waldmana i kładąc mu ciężko rękę na ramieniu:

— Proszę cię, milcz Waldman... i tak mamy niezałatwione rachunki o koleżankę Wojtyrską... więc milcz!

Waldman skrzywił się pod ciśnieniem ręki i pobladły szepnął:

— Ja tylko żartowałem.

— Nie żartuj! Rozumiesz?

— Dobrze już... puść mi ramię.

Gdy wychodził ze sali, spotkał się na schodach z Olgą, która, widząc go tak wystrojonym, w nowym paltocie, uśmiechnęła się i podając rękę:

— Widzę przygotowania i podziwiam wasz gust.

— Musiałem się ubrać, aby się przyzwyczaić do nowego futerału.

— Jakże się czujecie? — zaśmiała się.

— Jak małpa zielona w budzie jarmarcznej; zdaje mi się, że wszyscy wytrzeszczają na mnie oczy i mam ochotę robić grymasy, wywijać koziołki.

— Tylko nie przy mnie, kolego!

— O nie, wy przecież wiecie, dlaczego udaję eleganta i brukotłuka.

— Wiem... wiem... Kiedyż odjeżdżacie?

— Prawdopodobnie za tydzień, czekam na flotę... A wiecie, są pogłoski, że Japonia wypowiada wojnę Rosyi, a wojna to woda na nasz młyn, odciągnie uwagę rządu od naszych spraw.

— Japonia z Rosyą... Biedna Japonia, zdusi ją niedźwiedź w jednym uścisku.

— Nie sądzę... nie porwałaby się, gdyby nie miała żadnej nadziei. Zresztą wszystko jedno, niech połyka więcej krajów: rozległość uniemożliwi despotyzm.

— Ale nowe zwycięstwa utrwalą system ucisku brutalnego.

— Napewno wda się w tę sprawę Anglia, a może cała Europa, bo Rosya dzisiejsza ciąży na narodach, jak zmora.

Wszczęli polityczną rozmowę i dopiero przerwali, gdy Olga spostrzegła idącą naprzeciw nich Helenę.

— Smutną ma minę — szepnęła.

— Tak, to u niej rzecz niezwykła — potwierdził Żalecki.

— Dzień dobry, Heleno!

— Ach, to ty?!

— Gdzie idziesz, nieszczęsna, sennemi kroki? — zaśmiał się Żalecki — Czy zły frazes?

— Nie w głowie mi żarty — westchnęła.

— Cóż się stało? Powiedz! — zachęcała Olga.

— Wiesz, spełniły się moje przeczucia... i rodzice i babka odmówili pozwolenia na wyjazd, aż do ukończenia studyów. I co ja teraz pocznę?

— No, rozpaczy niema — rzekł Żalecki — będziecie tu służyli tej samej sprawie, a gdy zbierzecie monetę, przyjedziecie.

— Nie, nie... ja muszę znaleźć sposób. Jeszcze nie wiem jaki, ale znajdę.

— Oby wam się udał wynalazek... A tymczasem gdzie was bogi prowadzą?

— Idę bez celu.

— Szukacie, czegoście nie zgubili. Otóż, koleżanko, jadę do Warszawy, dowiem się o lekcyach, o warunkach utrzymania i dam wam znać. Kto ma pięć semestrów uniwersytetu, może uznać, że skończył studya i wszystko w porządku.

— Dziękuję wam... ale słaba to nadzieja z lekcyami, mówił mi już Walczak...

— Mam pewien plan, który umożliwi ci pobyt w Warszawie — powiedziała Olga.

Helena aż przystanęła i z twarzą rozpromienioną:

— Masz sposób?! Mów! Mów!

— Są jednak dwa warunki, Heleno: najpierw zgoda twoja, a następnie uregulowanie sprawy wyjazdu z rodzicami i babką, bo nie możesz na siebie i na nasze stronnictwo ściągać zarzutu, że uciekasz potajemnie.

— Tak, to słuszne — potwierdziła Helena — już to załatwię pomyślnie... ale na co mam się zgodzić?

W tej chwili zbliżył się listonosz do Olgi i z ukłonem:

— Mam list dla pani — zaczął szukać w torbie — pani tu może pokwitować.

Helena ze Żaleckim poszli kilka kroków dalej, a listonosz wręczył Oldze list pieniężny na dwieście rubli. Zaśmiały się jej oczy, szybko podpisała, obdarzyła listonosza i list schowała.

Mówiąc Helenie o swoim planie, miała zamiar zastawić swój kosztowny zegarek, pożyczyć Helenie pieniędzy z zastrzeżeniem, aby czekała na jej wyjazd. Otrzymane przed chwilą pieniądze, polepszyły całą sytuacyę. Co jednak ojciec pisze?

Zatrzymała się na ulicy, rozdarła kopertę i wyjęła list. Po kilku frazesach wstępnych, czytała:

„Zgadzam się chętnie na twój plan pobytu u Sudkiewiczów, do których piszę równocześnie. Warszawa, to już miasto, a ciotka twoja prowadzi dom otwarty. Teraz, w czasie karnawału, możesz się u nich zabawić, wytańczyć i będziesz miała sposobność poznać ludzi z naszej sfery. Posyłam ci dwieście rubli, wzięte z procentów od posagu twego po matce, abyś mogła godnie wystąpić i nie zrobić mi wstydu lichemi sukniami; sądzę, że jedna balowa, a druga na rauty, wystarczą ci na razie, a nie zapominaj, że zgrabny bucik i ładna rękawiczka dużo znaczą. Rachunek po przyjeździe do Warszawy przyszlij, potrzebuję go dla porządku...“

Następowały wiadomości z tych kół petersburskich, w których z ojcem bywała i życzenie wesołego karnawału.

Olga włożyła list do koperty i szybko poszła za Heleną i Żaleckim, którzy, nie chcąc przeszkadzać Oldze, dość znacznie się oddalili.

— Przepraszam was, ale list był pilny i musiałam go zaraz przeczytać.

— Ależ koleżanka ma twarz wniebowziętej! — zaśmiał się Żalecki,

— Prawda — spojrzała Helena — zapewne otrzymałaś dobre wiadomości?

— Lepsze, aniżeli przypuszczałam — zaśmiała się wesoło.

— Szczęśliwa! — westchnęła Helena — ale ja ci nie zazdroszczę, owszem, przeciwnie, cieszę się twoją radością!

— Dziś, wobec tak wielkiej uroczystości, zapraszam was do knajpy.

— Do jakiej knajpy? — zdziwił się Żalecki.

— Do naszej — zaśmiała się Olga — czy sądzicie, że tylko wy macie waszą knajpę?... Mamy naszą cukiernię!

Weszli do małej cukierni, a gdy usiedli przy stoliku, na którym postawiono tacę z ciastkami, zaczęła Olga tonem obojętnym:

— Ojciec zezwala na mój wyjazd do Warszawy — spojrzała, jakie wrażenie wywrą jej słowa.

Żalecki rozpromienił się, Helena spojrzała nie bez zazdrości.

— Jako dowód swego zezwolenia, przysłał mi pieniądze... zgadnijcie na co?

— Naturalnie, na podróż — rzekł Żalecki.

— Taki wydatek rozumie się sam przez się, nie jesteście domyślni, kolego... a ty Heleno?

— Pewno na suknie.

— Tak jest... tymczasem ja z moich oszczędności, no i z waszej rady, kolego, aby się zbliżyć do robotnic, mam już suknię. Pieniądze są do rozporządzenia i naturalnie trzeba ich użyć na cel szlachetny.

— Schowajcie je do Warszawy, tam się przydadzą, nawet bardzo — doradzał Żalecki.

— Mam i tak kieszonkowej pensyi dwadzieścia pięć rubli ze spadku po matce, nie przejem i nie roztracę... ale te są wyjątkowe. Umyśliłam przeznaczyć je na wzmocnienie partyi, a że tam potrzebni są bojownicy inteligentni, więc ta pieniądze zawezwę chętnego i szczerego towarzysza. Zgadzacie się?

— W zasadzie zgodziłabym się na twój pomysł — powiedziała Helena — ale wybór zostawiłabym doświadczonym... takiemu panu Pawłowi...

Żalecki domyślił się gry Olgi i wchodząc w jej zamiary:

— Pana Pawła niema i musi się obejść bez jego rady, a waszą myśl, koleżanko Wojtyrska, najzupełniej pochwalam. Proponuję zatelefonować do Walczaka, on teraz w pracowni, niech przyjdzie i złożymy naradę.

— Tak, tak... Walczak może doradzić — rzekła Helena.

— Po cóż nam Walczaka? — sprzeciwiła się Olga — jest nas i tak trzech członków partyi. Głosujmy! Zgadzasz się, Heleno?

— Dobrze... ja stawiam kandydaturę kolegi Walczaka!

— A wy, kolego Żalecki?

— Ja?... Helenę Borwicz.

— Również ja — zaśmiała się Olga — i jedziesz, Heleno, musisz jechać, bo zapadła uchwała.

— Ani myślę... to był wasz podstęp. Że też nie domyśliłam się... jakież cielę ze mnie! Nie mogę, Olgo, być na twojem utrzymaniu. Będę się oszczędzała, skąpiła sobie... i przyjadę.

— I przyjedziecie wyschnięta, stetryczała, chorowita... wielka pociecha dla partyi — mówił Żalecki z przekąsem.

— Nie robię tego, Heleno, dla ciebie, ale dla stronnictwa które potrzebuje ludzi z poświęceniem, z zapałem. Odmawiając, dajesz dowód, że wyżej stawiasz twoją ambicyę i przyjemność, aniżeli samą sprawę. To egoizm przemawia z ciebie.

— Wymowna jesteś, Olgo, ale...

— Żadne „ale“ — zawołał Żalecki — daję wam słowo honoru, że gdybym potrzebował, a kolega ofiarował mi w ten sposób ułatwienie możności pracy, przyjąłbym bez wahania i wstydu.

— Już nie krzyczcie i nie namawiajcie mnie — zaśmiała się Helena — mnie samej aż serce rwie się do Warszawy; przyjmuję i jadę.

— Jakaś ty dobra — uścisnęła jej rękę Olga.

— Zrobiliście, co się należało — dodał Żalecki.

— Teraz rachunek, Heleno — zaczęła Olga — najpierw koszt jazdy do rodziców i babki, sama uznałaś konieczność.

— Tak jest... tam i z powrotem?... Dwanaście koron... Kolej do Warszawy...

— Wstrzymaj się — zaśmiała się Olga — jedziemy razem i podróż nie wlicza się do utrzymania.

— Miesięcznie, jak wiem dobrze, bo informowałam się w Łodzi szczegółowo, kosztuje dobre już utrzymanie trzydzieści rubli, a może taniej? Mówię, jak upewniali mnie znający te stosunki. Przypuszczam, że za miesiąc znajdę lekcye, czy coś podobnego...

— Nie liczysz pierwszych wydatków, Heleno, frycowe trzeba zapłacić, koszt wyszukania, przejazdu... i pierwszy miesiąc stracisz na rozejrzeniu się, na poszukiwaniach. Weź siedemdziesiąt pięć rubli, a na miejscu zobaczymy, co się zrobi, jak się ułoży.

— Czy to nie za wiele?

— Nie bądź dziecinną, a gdybyś nie znalazła zajęcia, licz na mnie jeszcze na jeden miesiąc. Kiedy jedziesz do rodziców?

— Dzisiaj wieczorem... szkoda czasu tracić. A wrócę?.. Za dwa dni... dziś wtorek... w piątek popołudniu będę u ciebie i mogę jechać, chociażby zaraz.

— Jesteś przygotowana do drogi?

— Jeden kuferek nie jest trudny do spakowania. A ty kiedy jedziesz?

— Nie wiem — spojrzała na Żaleckiego — ale od biedy mogę w sobotę.

— To najlepszy dzień do podróży — dodał Żalecki — niema ścisku, bo niema żydów. Jedziecie wy, pojadę i ja.

Wstali od stołu, a gdy po wręczeniu pieniędzy przez Olgę, żegnali się z Heleną, ta, ucieszona podróżą do Królestwa, rzekła:

— Stało się więc! jedziemy!

A Żalecki dodał tonem żartu:

— Kości rzucone! Zaczyna się gra!

X.

Pani Wojtyrska, mimo prośby Olgi, uważała za swój obowiązek odprowadzić ją na dworzec kolejowy wraz z Edmundem, mąż bowiem był zajęty w biurze w porze odejścia pociągu.

Zdziwiła się trochę, że Olga jedzie trzecią klasą, a jeszcze bardziej, że znalazła towarzystwo Heleny i Żaleckiego.

Gdy pociąg ruszył, wracała ze synem do domu z westchnieniem ulgi:

— Dobrze, że Olga pojechała, tak się niepokoiłam i troszczyłam o nią.

— To chyba było zbyteczne, mamo — zaśmiał się Edmund — ona wie przecież, co robi.

— Wam młodym zdaje się, że jesteście doświadczeni, ale to urojenie... jedna chwila słabości, zapomnienia się i nieszczęście gotowe; kiedyś sam się przekonasz.

— Może i bywa tak z pannami — uśmiechnął się — ale nie z nami.

— Jedno i to samo, Edmundzie. Ileż czasu potrzeba, aby przegrać, zadłużyć się, albo też zaciągnąć zobowiązania na całe życie wobec kobiety.

— Tak, do pewnego stopnia mama ma racyę... bywa to — westchnął.

— Edmundzie! A może ty? — spojrzała mu w oczy z obawą.

— Ja? — zaśmiał się — mama może być pewna, nie zaplączę się...

Szli jakiś czas w milczeniu i matka:

— Nie wiesz, Edmundzie, dlaczego Helena... i ten pan... jakże się nazywa? Zapomniałam...



— Ah, ma chère Olga! — posłyszała Olga kobiecy głos...

— Żalecki, mamo.

— Dlaczego oni i właśnie w tym samym dniu, co Olga, wyjechali?

— Zapewne mają wspólne interesa.

— Co też mówisz? Jakie interesa?

— Należą do jednego stronnictwa i to ich wiąże, a że mają interesa, to mój domysł.

— Czy i ty należysz?

— Ja z nimi nie mam nic wspólnego, oni i ja jesteśmy przeciwnikami.

— Tak? Jednak witałeś się z nimi, i zdawało mi się, dość serdecznie.

— Bo niegdyś lubiłem i szanowałem Żaleckiego, a dziś zaledwie lubię. Zresztą, moja mamo, jako ludzie, możemy się znać, a zwalczać się jako stronnictwo.

— A ty do jakiego należysz?

— Ja?... Jakby to mamie powiedzieć? Otóż król Henryk IV chciał, aby każdy chłop miał kurę w garnku i moje stronnictwo chce to w życie wprowadzić, aby każdy biedny miał co jeść i był szczęśliwy.

— Ależ to stronnictwo i cel są bardzo szlachetne, piękne... dumna jestem, że ty należysz... A czegóż chcą oni?

— Oni?... Oni... Oni mówią: co nas cały świat obchodzi, byle tylko u nas, w Polsce, było dobrze.

— No, i tu zamiary nie są złe... ale twoje są piękniejsze, szlachetniejsze.

— I ja tak sądzę — uśmiechnął się zadowolony z siebie i z pochwały.

W domu pani Wojtyrska zastała depeszę z opłaconą odpowiedzią od Sudkiewiczów z Warszawy, kiedy Olga przyjeżdża.

Wysłała też natychmiast odpowiedź telegraficzną, że Olga dziś rano, o godzinie ósmej, wyjechała.

Podróż trojga młodych ludzi była bardzo przyjemna i wesoła, nawet nie spostrzegli, że już dojeżdżają do Warszawy.

Umówiwszy się, że spotkają się w hotelu „Victoria“, gdzie Helena i Żalecki mieli zajechać, wysiadła Olga z wagonu.

— *Ah, ma chère Olga!* — posłyszała Olga kobiecy głos i w tej chwili pani Sudkiewiczowa, szatynka, jeszcze dosyć młoda i bardzo elegancko ubrana, podała jej urękawicznioną rękę, przyciągnęła do siebie i ucałowała.

— Jakże się cieszę — trochę się odsunęła, zmierzyła Olgę okiem znawczyni — wyglądasz prześlicznie, trochę fryzura przestarzałej mody, ale to nic nie znaczy, zdobi cię młodość i świeżość.

— Nigdy nie spodziewałam się cioci tutaj.

— Otrzymałam zawiadomienie telegraficzne.... i jestem.

— Bardzo dziękuję cioci.

Tragarz, który dotychczas stał cierpliwie, zapytał:

— Gdzie mam odnieść rzeczy?

Olga spojrzała, a nie widząc swego kuferka:

— Jeszcze jeden kuferek... na lewej półce.

Tragarz wszedł do wagonu trzeciej klasy i pokazując przez okno:

— Czy ten, proszę pani?

— Tak, ten sam.

— Jakże mogłaś jechać trzecią klasą? — szepnęła tonem niechętnym — wstyd mi służącego — kończyła po francusku i zwracając się do stojącego lokaja — zabierz te rzeczy od posłańca... zapewne masz kufry, Olgo, daj Janowi kwit, on to załatwi, a my chodźmy.

— Zaraz, ciociu, posłaniec niezapłacony.

— To załatwi Jan — i do służącego — słyszysz, zapłać za rzeczy.

— Rozumiem, jaśnie pani.

— Siadajmy do powozu.

Lokaj, zostawiając rzeczy pod dozorem tragarza, poszedł szybko naprzód, aby powóz podjechał, a zanim zamknął drzwiczki landa, jeszcze upomniała pani, by szybko przyjeżdżał z rzeczami.

— Czy ciocia trzyma konie?

— Nie stać nas na to — westchnęła — bo Lolek i Dorek, chociaż są w korpusie, w Petersburgu, na koszt rządowy, ale dużo nas kosztują. Nic dziwnego, tam sam wybór młodzieży szlacheckiej i muszą mieć dobre kieszonkowe.

— Słyszałam, ciociu, o tem. Jakże cioci zdrowie, wygląda ciocia nad podziw dobrze i ładnie.

— W cieniu, przy lichem świetle ujdę jeszcze — zaśmiała się — a jak bawisz się w tym karnawale? Na ilu balach byłaś? Podobno tam dobrze się bawią?

— Na żadnym balu... i czy się bawią, nie wiem nic pewnego.

— Wprawdzie pani Wojtyrska niemłoda, wiem o tem, ale nie sądziłam, że prowadzi życie zakonne. Bądź co bądź, mogła być z tobą na balu,

(Ciąg dalszy nastąpi).



Smierć podróżnika: Savorgnan de Brazza, francuski badacz Afryki zachodniej.

Śmierć podróżnika.

Francya straciła w tych dniach energicznego i przedsiębiorczego kolonizatora, któremu zawdzięcza zawładnięcie olbrzymiemi obszarami w Afryce zachodniej. Oto nadeszła z Dakaru w Senegambii francuskiej (w zachodniej Afryce podzwrotnikowej) wiadomość o śmierci, skutkiem zakaźnej dysenteryi, słynnego podróżnika, Piotra hr. Savorgnan de Brazza, w którym nauka traci jednocześnie niezmordowanego badacza, zwłaszcza znakomitego znawcę Konga. Zmarł on w sile wieku, urodził się bowiem w roku 1852 w Rio de Janeiro, w przystani na pokładzie okrętu. Wykształcony w kolegium jezuickiem Paryżu i w szkole marynarskiej w Breście, wstąpił Brazza do służby w marynarce francuskiej i udał się do Senegambii. Niebawem w roku 1875 wsławił się głośną swą podróżą, w której zbadał, zwłaszcza z punktu handlowo-politycznego, górną część rzeki Ogowe i dorzecze Kongo.

Zachęcony świetnemi wynikami podróży, poświęcił się Brazza całkowicie naukowemu badaniu „ciemnej części świata", w szczególności Senegambii i Konga. W roku 1879 w drugiej swej podróży po Afryce zachodniej założył stacyę francuską Franceville i dotarł do Stanley Pool, gdzie król Makoko odstąpił mu obszar na założenie stacyi Brazzaville; trzecią stacyę Poste de l'Alima założył w roku 1880. Rząd francuski dawał mu chętnie milionowe zasiłki na te cele, widząc wielkie korzyści rozprzestrzeniania swoich wpływów w tamtych okolicach.

Nowe posterunki francuskie zakładał następnie Brazza od 1883 roku w dorzeczu Kongo, aż wreszcie mianowano go gubernatorem jeneralnym Konga francuskiego. Położył on wogóle (poza pracami naukowemi) znaczne zasługi około otwierania licznych kolonij francuskich w Afryce środkowej w celach handlowych i ekonomicznych. Wzdłuż wybrzeża Loango założył 26 stacyj francuskich. W roku 1891 kierował wyprawą do rzeki Sangha. Sam zbadał bieg kilku rzek afrykańskich i baczną uwagę zwracał na warunki geologiczne tej Francyi podzwrotnikowej. Pozostawił cenne zbiory. Zmarły pochodził z starej rodziny de Brazza Savorgnan-Cergnen, gałęzi prastarego rodu Savorgnanów, który w VI wieku przybył z księciem Gizulfem z Morawii i osiedlił się we Friaulu, gdzie prapradziadowie słynnego podróżnika posiadali 70 wsi, 7 zamków, hrabstwo i markizat.

Załączony portret przedstawia śp. Brazzę w egzotycznym stroju podróżnika, gdy powrócił z wyprawy swojej do Ogowe i Konga. Druga fotografia wyobraża nieboszczyka w mundurze gubernatora Konga francuskiego.

Festyn sokoli we Frysztacie na Śląsku.

Życie narodowe na Śląsku austryackim bije coraz żywszem tętnem. Przeróżne towarzystwa budzą coraz większe poczucie polskości w szerokich kołach naszego społeczeństwa na kresach. A właśnie jednem z najbardziej do serca przemawiających towarzystw narodowych jest bezsprzecznie „Sokół", który dziś już 6 gniazd na Śląsku liczy.

Założone przed niespełna dwoma laty gniazdo sokole we Frysztacie, rozwija się nader pomyślnie — dzięki dobrej woli wydziału i druhów. — Jeszcze wprawdzie nie liczni, ale wszyscy przejęci szczerze ideą sokolą, członkowie Towarzystwa nie żałują ni czasu, ni trudów, by młode gniazdo utrzymać i rozwijać; to też dziś już widać owoce tej pracy.

Zmuszony liczyć wyłącznie tylko na własne, skromne środki, musi nieraz biedny kresowy „Sokół" wytężać wszystkie siły, aby opłacić drogo wynajętą salę, raty za przyrządy i tysiączne inne wydatki.

Co pewien czas urządza się tedy przedstawienia, ćwiczenia popisowe i festyny, aby tylko pokryć wydatki i nie dać młodemu gniazdu upaść.

Festyn sokoli urządzony dnia 8 września br. dał zniemczałemu Frysztatowi i okolicy obraz, jak to dziarscy Sokoli i bawić się i ćwiczyć umieją. Przy współudziale druhów z Cieszyna i Karwiny, odbyli sokoli frysztaccy ćwiczenia na przyrządach i zlotowe, tudzież barwne ćwiczenia lancami, a członkowie nowozałożonego gniazda w Karwinie urządzili bardzo ładne piramidy.

Znajdująca się w tym numerze illustracya, przedstawia drużynę sokolą z Frysztatu, Cieszyna, Karwiny, Niem. Lutyni i Michałkowic, ustawioną w barwnej grupie na boisku tenisowem.



Śmierć podróżnika: Savorgnan de Brazza, francuski badacz Afryki zachodniej, w stroju, w którym odbył swą wyprawę do Konga.

Fałszerze 50-koronówek.

Kryminalistyka światowa miała już do czynienia z bardzo sprytnymi łotrzykami z pośród fałszerzy pieniędzy, ale zdaje się, że przeszedł wielu z nich swoim sprytem — świeżo w Londynie aresztowany na żądanie Austryi, herszt bandy podrabiaczy 50-koronówek — Nuchim Schapira. Figura to znana międzynarodowej policyi. Odsiedział on już kilka lat więzienia w Wiedniu za fałszerstwo monet, ale na wolność raz wypuszczony, powrócił do Londynu kontynuować swoje rzemiosło. — A warto wiedzieć, jak się tam zręcznie urządzał.

Zwabiał on listownie swoje upatrzone ofiary do olbrzymiej stolicy Anglii, gdzie agent jego oczekiwał na przybysza na dworcu. Stąd prowadzono gościa do mieszkania Schapiry przez labirynt krętych uliczek, tak, żeby sam drugi raz nie trafił. Schapira pokazywał rzekome próbki fal-

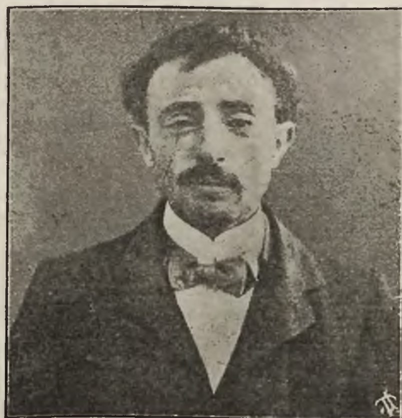


Festyn sokoli we Frysztacie na Śląsku: Grupa druhów z Frysztatu, Cieszyna, Niem. Lutni, Karwiny i Michałkowic na placu tenisowym.

FAŁSZERZE 50-KORONÓWEK:



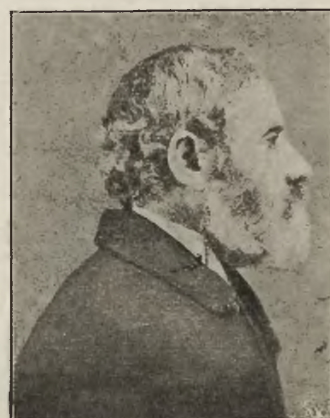
Aresztowany Piotr Polek, pomocnik woźnego pocztowego w Krakowie.



Chaim Schwalb, uwięziony w Wiedniu ajent Schapiry.



Laura Klugmanowa, ajentka Schapiry, aresztowana w Wiedniu.



Uwięziony w Londynie herszt bandy fałszerzy pieniędzy Nuchim Schapira.

syfikatów, które były prawdziwymi banknotami, a wtedy zachwycony dobrą robotą gość, płacił znowu gotówką za umówioną ilość podrobionych 50-koronówek, ale ich nie otrzymywał odrazu, potrafiono mu bowiem wytłomaczyć, jakie grozi niebezpieczeństwo na wypadek odkrycia.

Schapira odprowadzał go następnie sam na kolej, znowu długo wodząc po różnych dzielnicach krętymi uliczkami — i dopiero w ostatniej chwili, gdy pociąg ruszał z dworca, wręczał paczkę. Czasem biedna ofiara, w drodze dopiero rozwinąwszy swój skarb, przekonywała się, że dostała plik czystych papierów, wprzód grubo za nie zapłaciwszy, lecz milczała, nie mogąc zdradzić się przed policyą ze swych karygodnych zamiarów; innym razem Schapira dawał istotnie paczkę falsyfikatów odjeżdżającemu, ale wówczas łapał go w podróży, zwykle w Belgii, agent Schapiry, który przedstawiał się za tajnego detektywa i zabrawszy mu i fałszywe i prawdziwe pieniądze, puszczał wolno uszczęśliwionego, że i tak udało mu się wyjść z awantury bez wdania się policyi.

A jednocześnie jeździli po świecie wspólnicy Schapiry, rozrzucając po rynkach wielkomiejskich fałszywe 50-koronówki, istotnie znakomicie podrobione, tylko nieco za jasne i z charakterystycznym błędem w jednym podpisie węgierskim: „Fotonacos“, zamiast „Fötonacos“. Takich fabrykatów pojawiło się mnóstwo właśnie w ostatnich czasach w miastach galicyjskich i węgierskich, nakoniec w Wiedniu, gdzie policya tak się na nie zawzięła, iż śledziła dopóty, aż udało się jej uwięzić kilku agentów bandy londyńskiej, mianowicie Chaima Schwalba i jego szwagrową Laurę Klugmanową w Wiedniu, Mojżesza Parnesa i Pinkasa Friedmanna we Lwowie, Judę Leiba Katza w Stanisławowie — a na skutek badania tychże — herszta ich wreszcie w Londynie, Nuchima Schapirę.



Tajemnicze morderstwo: Pokrajane strasznie zwłoki zamordowanej 9-letniej Kolasówney.

I w Krakowie aresztowano w tych dniach pewnego kupca na Stradomiu, do którego nadszedł zwykły list z fałszywą 50-koronówką, z tego samego źródła pochodzącą. Listu tego tylko przypadkiem nie doręczono adresatowi, skradł go bowiem zastępujący chwilowo listonosza, pomocnik woźnego poczty krakowskiej, niejaki Piotr Polek i wyciągnąwszy z koperty banknot, chciał go wymienić w jakimś szynku, lecz, gdy się papierek wydał tutaj podejrzanym, Polek wraz z falsyfikatem, (którego nieprawdziwości, zdaje się nie przypuszczał nawet) wpadł w ręce naszej policyi. Śledzono teraz czy Polek ma jaki związek z bandą londyńską, czy tylko — jak już stwierdzono, miał on zwyczaj niektóre listy, do doręczania przeznaczone wykradać, żeby przywłaszczać sobie zawarte w nich marki lub pieniądze.

W dzisiejszym numerze znajdzie czytelnik podobizny Schapiry, Schwalba, Klugmannowej, oraz krakowskiego listonosza Polka.



Tajemnicze morderstwo: Komisya sądowo-lekarska u zwłok zamordowanej Maryi Kolasównej.

Tajemnicze morderstwo dziecka.

Są ludzie zwyrodniali, których chory mózg i nerwy pobudzają do ohydnych zboczeń i nadużyć. Słusznie twierdzi Lombroso, że zbrodniarz w chwili spełnienia czynu nie jest nigdy w zupełnie poczytalnym stanie, że zachodzą w krytycznym momencie pewne psychopatyczne powikłania, których skutkiem bywa chorobliwy „przymus moralny“ — a pod wpływem jego człowiek posuwa się do zbrodni. Humanitarna i piękna zasada — niestety! — tylko zasada! Praktyka i kryminalistyczna statystyka wykazują co innego. Poza dziedzicznem obciążeniem — drzemią w duszy ludzkiej złe instykta, a te nie trzymane na wodzy, doprowadzają do strasznych katastrof. Osobnik szkodliwy społeczeństwu, musi być z niego usunięty, bez



Fot. M Todt. Przemyśl.
Ćwiczenia pionierów i trenu korpusu przemyskiego: Widok obozu i kuchni polowej nad brzegiem Sanu w Krasiczynie.



Potomek królów we Lwowie: Ksiądz Maksymilian książę Saski.

względu na to, jakie czynniki w grę wchodziły w chwili popełnienia czynu.

Z tajemniczym takim faktem, zjawiskiem, z którem poprostu ani kryminalistyka ani ustawa — rady sobie dać nie umie — ma obecnie żandarmerya i policya podgórska do czynienia.

Fakt to straszny, wstrząsający wszystkimi uczuciami, jakie normalny człowiek w duszy swojej nosi! Posłuchajmy o nim!

Mała dziewczynka, 9-letnia Marysia Kolasówna, córka biednych wyrobników w Podgórzu, została znaleziona w polu martwa z okropnemi śladami morderstwa. Na nieszczęśliwem dziecku skonstatowano cięte, widocznie nożem zadane rany: szyja dwukrotnie przecięta, twarz również nożem zeszpecona. Nie mniej ręcebiednej ofiary wykazywały ślady gwałtu. Na ugorze, dookoła zwłok widniała szeroka kałuża krwi.

Marysia z polecenia sąsiadki swej matki wyszła na Rynek podgórski, gdzie mąż owej kobiety pierniki sprzedaje — i odwołała go do domu, gdyż wobec panującej mgły i wilgoci, sprzedaż towaru była utrudnioną. Sprzedający zwinął kram, a dziewczynkę uraczył piernikiem. Dziewczynka poszła w ulicę Kalwaryjską — i od tej pory zupełnie słuch o niej zaginął. Działo się to około godziny pół do piątej wieczorem. Ojciec wróciwszy do domu zaniepokoił się silnie nieobecnością Marysi. Noc zapadała — ojciec rozpoczął poszukiwania po ulicach i plantach, udał się nawet na policyę z zapytaniem o zaginioną. Wszystko daremnie! Marysia zginęła bez śladu.

Na drugi dzień dopiero znaleziono ją pokaleczoną w kałuży własnej krwi na polach podgórskich.

Policya i żandarmerya wytężyły wszystkie siły, celem wyśledzenia sprawcy ohydnej zbrodni — jak dotychczas zupełnie bezskutecznie. Obdukcya zwłok wykazała prócz szeregu ran i okaleczeń, że na dziecku nie dopuszczono się gwałtu — nie jest jednak wykluczony t. zw. „mord seksualny“ (*Lustmord*) jak go technicznie ustawa austryacka określa. Ciekawa a tragiczna ta sprawa zajęła żywo publiczność, a sposób w jaki morderstwa dokonano naprowadza mimowoli na reminiscencye o strasznym „Kubie rozpruwaczu“, którego ofiarami padały wyłącznie kobiety i dzieci.

W numerze dzisiejszym podajemy dwa zdjęcia: pierwsze przedstawia zwłoki ofiary, drugie komisyę sądowo-lekarską zgromadzoną przy ciele dziewczynki. W skład komisyi wchodzą — jak to rycina nasza uwidacznia: radca policyi Kostrzewski, sędzia śledczy z Podgórza Dutkiewicz, lekarze dr. Piórko i dr. Aronsohn, oraz wachmistrz posterunku żandarmeryi w Dębnikach.

Potomek królów polskich we Lwowie.

Stolica Galicyi gościła w ubiegłym tygodniu przez dni kilka potomka królów polskich w osobie księdza Maksymiliana księcia Saskiego.

Jest to syn najmłodszy zmarłego niedawno króla Jerzego, a brat obecnie w Saksonii panującego Fryderyka Augusta, męża, głośnej i nieszczęśliwej Ludwiki — dziś tylko hrabiny Montignoso.

Książe Maksymilian Wilchelm August Albert Karol Grzegorz Odo urodził się z infantki portugalskiej w roku 1870 na zamku królewskim w Dreźnie. Jako doktor prawa i teologii, został w r. 1896 wyświęcony na księdza — czuł bowiem od lat najwcześniejszych szczere powołanie do stanu duchownego, w którym też czuje się szczęśliwy, żyjąc zdala od zgiełku światowego oraz ceremonii i intryg dworskich.

Od szeregu lat, jest ksiądz Maksymilian profesorem prawa kanonicznego i liturgii na szwajcarskim uniwersytecie we Fryburgu, gdzie cieszy się powszechną sympatyą młodzieży i świata naukowego katolickiego.

Obecnie wybrał się w podróż na Wschód przez Rosyę i w drodze przez Galicyę zatrzymał się na parę dni we Lwowie, jako gość tutejszego metropolity grecko-katolickiego, ks. hr. Szeptyckiego. Na cześć księcia w sutannie wydał również obiad rzymsko-katolicki arcybiskup, ks. Bilczewski, a podczas uczty w jego pałacu, u stóp Wysokiego Zamku, musiała być niewątpliwie mowa i o tem, iż brat obecnego króla saskiego jest jednym z potomków dawnych królów polskich.

Ćwiczenia pionierów i trenu korpusu przemyskiego.

Wartość armii zależy w głównej części od sprawności nietylko prostych żołnierzy, ale i korpusu oficerskiego. Aby i jedni i drudzy mogli jak najlepiej odpowiedzieć swemu zadaniu, urządza się co roku manewry pojedynczych korpusów i wielkie manewry cesarskie, a oprócz tego co czas pewien ćwiczenia pewnych oddziałów. Celem tych ćwiczeń jest należyte wykształcenie żołnierzy i oficerów. Ćwiczenia te bowiem urządzane są zupełnie w ten sposób, jakby się odbywały w czasie wojny. Chodzi więc w nich przedewszystkiem o szybkie oryentowanie się oficerów w sytuacyi i o szybkość, z jaką żołnierze wykonają ich rozkazy.

Dnia 27 zm. urządzono takie ćwiczenia wojenne w Krasiczynie. Wziął w nich udział 11 batalion pionierów i 10 dywizya trenu. Ćwiczenia odbywały się nad Sanem, głównym zaś ich punktem było ustawienie przez pionierów mostu na Sanie, aby umożliwić przejazd trenowi. Ustawienie mostu było świetnym dowodem,



Fot. M. Todt. Przemyśl.
Ćwiczenia pionierów i trenu korpusu przemyskiego: Oficerowie podczas przerwy w ćwiczeniach.

że pionierzy przemyscy są doskonale wyćwiczeni. oraz rękojmią, że i w czasie ewentualnej wojny odpowiedzieliby godnie swemu zadaniu. Most bowiem stanął w przeciągu pół godziny i był już zupełnie gotowy do użytku. Po przejeździe trenu most rozebrano w przeciągu 20 minut. Rzeczywiście szybkość to zdumiewająca.

Ćwiczenia te odbyły się zupełnie na sposób wojenny. W polu rozbito obóz, żywność gotowano w kuchni polowej tak dla żołnierzy, jak i dla oficerów.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze illustracye, przedstawiające ogólny widok obozu podczas ćwiczeń, oraz sztab oficerski podczas odpoczynku.

Doroczna musztra straży pożarnej ochotniczej we Lwowie.

W większych miastach pożary wybuchają bardzo często i zawsze prawie grożą wielkiem niebezpieczeństwem. Akcya ratunkowa musi tam więc być jak najszybszą i jak najbardziej planową, to zaś zależy jedynie od organizacyi i wyćwiczenia straży pożarnej. Nasze straże, zwłaszcza straż krakowska i lwowska. mają pod tym względem już zasłużoną sławę. Odznaczają się one tem, że na miejsce pożaru przybywają w kilku minutach i w krótkim również czasie, dzięki znakomitemu wyćwiczeniu strażaków, ogień lokalizują. Kto miał sposobność widzieć kiedy straż lwowską lub krakowską przy gaszeniu ognia. ten podziwiać musiał tę systematyczność, prawie jak w zegarku, z jaką działają wszyscy strażacy. Nie tracą oni ani chwilki, każda sekunda jest dla nich drogą, żaden ruch nie jest więc nieobliczony i zrobiony na ślepo. Wszystko odbywa się szybko, wprawnie, wszystko jest naprzód obliczone i wykonane z oznaczonym z góry planem.

Straż pożarna we Lwowie odbywa co roku uroczystą musztrę, podczas której publiczność może się przypatrzeć ćwiczeniom i nabrać pojęcia, ile to pracy wymaga, aby straż dobrze wyćwiczyć i w ten sposób przygotować ją do energicznej akcyi ratunkowej w czasie pożaru. Taka musztra odbyła się tego roku w ubiegłą niedzielę na strażnicy miejskiej. Oprócz ćwiczeń wolnych z toporkami i bez toporków, największe zainteresowanie wzbudziły ćwiczenia, przedstawiające sposób gaszenia ognia w piwnicy i na piętrach. Straż lwowska jest bardzo dobrze wyposażoną we wszystkie przyrządy, potrzebne do gaszenia ogni, chodzi więc tylko o wyćwiczenie strażaków w obchodzeniu się z tymi przyrządami. I pod tym względem straż lwowska odpowiada najbardziej wygórowanym wymaganiom. Strażnicy są przedewszystkiem doskonale obznajomieni ze wszystkiemi przyrządami, umieją je bardzo dobrze zastosowywać i bardzo zręcznie nimi się posługiwać. Niedzielna musztra wykazała dowodnie, iż tak naczelnicy straży, jak i strażacy, dokładają wszelkich starań, by należycie módz odpowiedzieć poruczonemu im zadaniu. Musztra ta, to był niejako egzamin, który dla straży wypadł świetnie.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok fotografię, przedstawiają wydział straży pożarnej ochotniczej we Lwowie, oraz zdjęcie, przedstawiające sposób gaszenia ogni piwnicznych.



Fot. M. Münz. Lwów.

Doroczna musztra straży pożarnej ochotniczej we Lwowie: Wydział straży pożarnej ze sztandarem.



Doroczna musztra straży pożarnej we Lwowie: Ćwiczenia z przyrządami do gaszenia ogni piwnicznych. Fot. M. Münz. Lwów.

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

2 (Ciąg dalszy).

Na prawo, na szafocie, stał on, silny, w kwiecie wieku mężczyzna, który za chwilę miał zginąć z ręki kata. Wyciągnęłam ku niemu ręce poprzez żelazne kraty okienne, w rozpaczliwym bólu wymawiałam ciągle jego drogie imię. Spojrzał w górę i również wyciągnął ramiona, jakgdyby chciał żonę, która go tak gorąco, serdecznie kochała, po raz ostatni uściskać.

„Tereso, moja słodka Tereso, bądź zdrowa“ — zawołał do mnie. „Przeklinaj twoich i moich morderców!“

Potem widziałam jakiś nagły błysk. W oczach mi pociemniało. Dopiero później objęłam umysłem całą grozę mojego nieszczęścia. Drogi małżonek, ukochane dzieci, ciche, spokojne ognisko rodzinne, wszystko, ach, wszystko minęło, stracone już niepowrotnie, a przedemną stało otworem więzienie.

Usiadła na krześle, głowa opadła jej na piersi, z której wydobywało się głuche szlochanie.

— Tak – pani – dużo, bardzo dużo pani przecierpiałaś. Ale dzisiaj to wszystko już minęło, na nowo pani odżyjesz...

— Nie, nigdy już — przerwała mu pani Berner. — We mnie już wszystko umarło na zawsze. Żyć chcę jeszcze jak najdłużej; ale każdy mój oddech, każde uderzenie mojego pulsu, poświęcone będzie wielkiemu zadaniu: ażeby odkryć zbrodniarzy i cichy, samotny, hańbą pokryty grób mego męża uczynić grobem człowieka nieskalanego.

— Ja pani w tej pracy wedle sił moich pomagać będę! — zapewniał żywo młynarz.

Usta nieszczęśliwej okrasił uśmiech, na jasnem jej czole znać było jakąś piękną myśl.

— A kiedy pewnego dnia odnajdę moje dzieci, kiedy je przycisnę do mego matczynego serca i będę im mogła powiedzieć: Henryku, Gizelo, wasz ojciec nie był mordercą, wasza matka nie była zbrodniarką, tu są dowody, że oni oboje cierpieli „za winy niepopełnione“ — wtedy, wtedy w mojej wyschłej piersi zapali się chyba ten święty płomień, jaki tam gorzał ongiś, a który zgasł pod lodowem tchnieniem losu — płomień miłości.

— Dałbym pani jednę dobrą radę — rzekł młynarz. — Niech pani przez ten czas nie używa nazwiska swego męża, które teraz jest pokryte hańbą. Niech się pani przezwie swem panieńskiem nazwiskiem — panią Renault.

W tej chwili dał się słyszeć z pola turkot jadącego wozu. Psy domowe zaczęły zaciekle ujadać.

Młynarz podniósł się, podał rękę pani Renault i życząc jej dobrej nocy, opuścił pokój.

Na drugi dzień rano pani Berta, żona młynarza, przyniosła jej śniadanie. Siadła z nią razem do stołu i zaczęła:

— Tej nocy obdarzył nas Bóg jeszcze jednym gościem. Jestto młoda kobieta, chora, przytem pupilka młodego hrabiego, który przez nieostrożność strzelił do niej i zranił ją. Kilka tygodni leżała chora na leśniczówce, ale okoliczności tak się złożyły, że musiano ją wziąć stamtąd. Więc młody hrabia u nas jej wynalazł kwaterę.

— W takim razie, łaskawa pani, ja dla państwa długo ciężarem nie będę i...

— Ach, nie o tem myślałam, nie o tem. Pani tu także pozostanie, a ja chciałam się tylko zapytać, czyby pani może nie była tak dobrą i nie podjęła się opieki nad tą chorą.

— O, z miłą chęcią, z miłą chęcią — zawołała żywo pani Renault.

— O obecności tutaj owej chorej wiemy tylko my, mój mąż i ja, a ponieważ młody hrabia, prawdopodobnie z powodu ojca, nakazał nam w tej sprawie milczenie, przeto proszę pani, by pani o tem nikomu nie mówiła.

— Będę milczeć, odemnie nikt się o tem nie dowie.

Pani Berta skinęła głową.

Rozmawiały jeszcze chwilę, dopóki pani Renault nie skończyła śniadania, poczem żona młynarza ozwała się:

— A teraz, jeśli pani łaskawa, niech pani uda się za mną do pacyentki.

Obydwie opuściły pokój i poszły na górę, na pierwsze piętro.

III.

Testament zamordowanego.

Było to późno w nocy.

Hrabia Mateusz Mironeau siedział w swoim gabinecie przy biurku i dumał, podparłszy rękoma siwiejącymi już włosami pokrytą głowę. Przed nim, na oświetlonej elektryczną lampką marmurowej płycie, leżał wielki jakiś papier, który, sądząc po jego barwie, liczył już nie jeden lat dziesiątek.

Zimnym wzrokiem patrzył hrabia na pożółkłe plamy papieru, pożółkłe tak, że aż przechodziły w ton czerwony, jakby te litery pisane były krwią.

Po chwili odsunął się od biurka, siadł wygodnie w fotelu i zmrużył oczy. Jego surowa, odpychająca, niesympatyczna twarz zdradzała jakąś tajemną trwogę, trwogę, która chwilami opanowuje duszę zbrodniarza.

— Krwi! krwi! — syknął.

Pierś podniosła mu się, jakby chciał z niej zrzucić jakiś ciężar.

Z czoła spływał mu kroplami pot.

Naraz usłyszał szmer jakiś. Krzyknął więc przeraźliwie, jakby złapany na gorącym uczynku i stanął na równe nogi.

— Ach, to ty, Wilmo! Cóż cię do mnie o tak późnej porze sprowadza?

Wziął w swe dłonie białą, drobną rączkę hrabianki i ucałował ją.

Stała przed nim wysoka, smukła i piękna, jednak tak blada, że w nocnej bieliźnie wyglądała raczej na marmurowy posąg, niż na żywą istotę.

— Dlaczego tak przeraźliwie krzyknąłeś, stryju? — zapytała.

— Ja? Ja? Widzisz, zdrzemnąłem się trochę i miałem straszne przykry sen. Ale, może usiądziesz na chwilkę, droga Wilmo?

Posadził ją obok siebie.

— Powiedz mi dziecko, co ci jest? Jesteś tak blada...

Hrabianka chwyciła nerwowo jego rękę.

— Pomyśl sobie, kochany stryjku, moja pokojówka, Klara, nagle zwaryowała.

— Ależ Wilmo, co ty wygadujesz? — zawołał hrabia, blednąc.

— Jeszcze przed pół godziną kazałam jej iść na spoczynek — nagle przed chwilą wpadła do mnie z twarzą przerażoną, z oczyma szeroko rozwartemi — o, jak ona strasznie wyglądała! — pytam jej, co jej brakuje, a ona rzuca mi się na szyję i poczyna szlochać. Na wszystkie pytania odpowiada mi tylko dwa słowa: „Duch! Upiór!“ Spostrzegłam zaraz, że biedaczka straciła rozum.

Hrabia podniósł się; on sam wyglądał teraz, jak upiór.

— Rzeczywiście — rzekł. — Nieszczęśliwa dostała obłędu. Jednak, gdzież ona się teraz znajduje?

— Zamknęłam ją w moim pokoiku.

— Dobrze, moje dziecko. Nie wypuszczaj jej, aż ja tam przyjdę. A teraz do widzenia!

Hrabianka oddaliła się.

Hrabia Mironeau opadł na stołek wzburzony.

— Upiór! — mruczał. — Widziadło — upiór!

Drżał cały, jakby we febrze.

— Że ja jednak o tem nie pomyślałem! A taka nieostrożność mogła mnie grubo kosztować. W tej chwili muszę tę „waryatkę“ z domu usunąć!

Wstał i podszedł znowu do biurka:

W tej chwili jednak usłyszał głos:

— Dobry wieczór, ojcze!

Odwrócił się szybko i ujrzał swego syna, który właśnie wszedł do pokoju.

Podali sobie ręce, jak zawsze zimno i etykietalnie.

— Powróciwszy właśnie z wycieczki, znalazłem twoją kartkę, ojcze, na biurku i mimo późnej godziny...

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. Pora wprawdzie spóźniona, ale ważne sprawy są pilniejsze, jak sen. Usiądź, mój synu!

Hrabia Jan Mironeau usiadł na krześle niedaleko biurka. Założył nogę na nogę i rzekł:

— Ważne rzeczy, powiadasz? Czy zaszło coś takiego?

— Tak jest — odparł stary hrabia — ale nie dzisiaj, lecz przed kilku laty. Przeczytaj sobie naprzód ten list, jaki mi wieczorna poczta przyniosła.

Podał synowi jakiś urzędowym znakiem zaopatrzony arkusz. Hrabia Jan przerzucił pismo oczyma i rzucił papier na stół.

— A więc sąd przypomina ci, że córka twojego brata, hrabianka Wilma, za trzy miesiące będzie już pełnoletnią i wzywa cię, abyś w tym czasie zdał sprawę, jak zarządzałeś jej majątkiem i złożył w urzędzie dokładny rachunek.

— Ja nie! — zawołał hrabia, śmiejąc się. — Chciałem ci bowiem powiedzieć, że ty mi musisz oszczędzić pisaniny i rachowania — —

— W jakiż sposób? — przerwał żywo hrabia Jan.

— W ten sposób, że ożenisz się z Wilmą, zanim ona dojdzie do pełnoletności. Jeżeli bowiem córka mojego brata zostanie żoną hrabiego Mironeau przed dojściem do pełnoletności, wtedy sąd niema już prawa troszczyć się o jej majątek. Tak powiedziano w testamencie.

— W testamencie? Cóż to za testament?

— No, testament — zamordowanego.

— Ach — więc stryj Hugo pozostawił testament?

— Naturalnie! Zanim opuścił Amerykę, urzędownie rozporządził swoim majątkiem i zastrzegł sobie — jednak, pocóż ci mam mówić, tu masz odpis testamentu. Weź go i czytaj uważnie ustęp za ustępem, a przekonasz się, że los zapewnił ci majątek jeszcze wtedy, kiedy byłeś dzieckiem.

— O tem nigdy nie wątpiłem — rzekł Jan, trzymając w drżących rękach testament. — Z łaski losu urodziłem się synem hrabiego, bogatego hrabiego...

— Tak, tak — przerwał mu ojciec. — Ale twoi rodzice byli nieszczęśliwi – jednem słowem – nasze dobra były wtedy obdłużone ponad ich wartość; przez śmierć twojego stryja mnie przypadło zarządzanie jego majątkiem, który wynosił przeszło milion dolarów; przeniosłem więc jego pieniądze na majorat, spłaciłem długi i w ten sposób, mój synu, uratowałem siebie i ciebie od kija żebraczego.

Z twarzy młodego hrabiego zeszła wszystka krew; jakby oszołomiony patrzył błędnym wzrokiem na ojca.

— A ileś w ciągu ośmnastu lat oszczędził z procentów od tego miliona? — zapytał wreszcie.

— Nic, ani grosza. Nieszczęścia, nieudałe przedsiębiorstwa...

Jan zerwał się, jak oparzony.

— Nic? Nic, powiadasz?! W takim razie jesteśmy, ja i ty, żebrakami, bo jedyną panią majoratu jest Wilma — zawołał, a gorące krople potu spływały mu z czoła.

Stary skinął głową z uśmiechem.

— Uspokój się, mój synu, przeczytaj naprzód testament...

Jan rzucił papier na stół.

— Teraz rozumiem wszystko i nie potrzebuję czytać tej szmaty. Jestem dziadem, żebrakiem i żaden testament nie zmieni tej smutnej rzeczywistości!

Stary hrabia podniósł się szybko i położył mu rękę na ramieniu.

— Ależ nie bądź przecie szalony, mój synu! Patrz, jako mąż Wilmy, ty stajesz się panem i zarządcą majoratu.

Jan cofnął się.

— Wilma nigdy nie może być moją żoną — nigdy!

— Co — coś ty powiedział?

— Ja już oddawna — jestem związany z inną, słowem honoru; silne węzły, węzły szczerej, prawdziwej miłości łączą mnie z jedną szlachetną istotą...

— Przestań, nieszczęsny! – krzyknął hrabia. – Jeżeli się nie ożenisz z Wilmą, to — odetchnął głęboko — to ja muszę się w sądzie wykazać, gdzie się podziały procenty od miliona Wilmy, którym zarządzałem przez ośmnaście lat!

— A gdzież one się podziały? Przecież to są kolosalne sumy, które muszą wynosić już kilka milionów! Gdzież one są?

— Nie mówmy teraz o tem — później ci złożę rachunki, tobie, mojemu synowi! Powiedz teraz tylko, że ty zaprowadzisz Wilmę do ołtarza, powiedz i uwolnij mnie od wewnętrznej męki!

Litość i wzgarda walczyły w sercu młodzieńca.

— Ja nie mogę się ożenić z Wilmą! — zawołał wreszcie. — Mój honor, moja miłość...

— Ha, wyrodny synu! — wrzasnął stary piorunującym głosem, zerwawszy się z krzesła. — Więc ty dla twojego honoru, dla twojej — miłości, chcesz twego starego ojca wpakować do kryminału?

— Oddawna już powinieneś być w kryminale! — dał się w tej chwili słyszeć jakiś obcy, przytłumiony, jakby z pod ziemi wychodzący, głos.

Ojciec i syn stanęli, jakby gromem rażeni, przytomniawszy jednak po chwili, rzucili się ku drzwiom i odchyliwszy portyery szukali, ale nie

znaleźli żadnej żyjącej istoty. Nie znaleźli jej nawet w przyległych pokojach.

Hrabia Jan nie powrócił już do ojca, ale udał się do swoich apartamentów, aby uciszyć burzę, jaka się rozszalała w jego duszy.

Stary hrabia siedział znowu sam w swoim gabinecie. Wściekłość i troska malowała się na jego twarzy i w jego błyszczących dzikim blaskiem oczach.

— Ja go potrafię zdławić... ten głos z podziemia — syczał przez zaciśnięte zęby. — I jego, jego także zmiażdżę, jeżeli nie wykona mej woli!

Przycisnął guzik, a z oddali dał się słyszeć głos elektrycznego dzwonka.

W kilka minut później zjawił się jego kamerdyner.

— Chodź tu, Janie! Słuchaj, co ci powiem! Klara widziała tej nocy upiora, rozumiesz, upiora w ludzkiem ciele. W tej chwili trzeba ją z zamku usunąć. Zbudzisz rządcę i obydwaj odstawicie „obłąkaną“ do Preneste. Ja tam jutro przyjadę i wydam dalsze rozkazy. Odejdź!

Jan, młody jeszcze chłopak, z łobuzowatym wyrazem twarzy i chytremi, błyszczącemi oczyma, nie usłuchał rozkazu, ale stanął i począł przestępować z nogi na nogę.

— Czy masz mi co do powiedzenia?

— Tak jest, panie hrabio. Dzisiaj był u mnie mój ojciec...

— Leśniczy Tareau? A czegóż on chciał od ciebie?

— Doniósł mi coś, o czem chciał, ażeby się pan hrabia dowiedział.

— Więc gadaj! Tylko źwięźle. Tę historyę z Klarą trzeba raz — dwa załatwić. Niema czasu zwlekać.

Chłopak zaczął mówić i przyciszonym głosem opowiadał to wszystko, co w ostatnim czasie zaszło na leśniczówce.

— Więc ta kobieta ma być żoną mojego syna? — krzyknął hrabia, jakby mu kamień spadł z piersi.

— Tak jest; mój ojciec i matka podsłuchali ich rozmowę; wszelka wątpliwość jest więc wykluczona.

— Powiadasz, że porodziła dziecko?

— Zaraz pierwszej nocy —

— Kiedyż to mniej — więcej było?

— Może temu z pięć tygodni.

Stary hrabia objął głowę rękoma i stał tak czas dłuższy bez ruchu, jakby skamieniały. Ocknął się jednak wreszcie i rzekł:

— Dobrze, Janie! Idź teraz i spełnij, co ci powiedziałem.

Chłopak oddalił się szybko.

— Tak jest — przekleństwo! — szeptał hrabia. — Tak, tak, to jest klątwa złego czynu, klątwa bratobójstwa!

Powstał, przeszedł się po pokoju, stanął znowu przy biurku i podniósłszy głowę, krzyknął:

— Zginąć musi ta kobieta! Musi!

Oczy błyszczały mu złowrogo. Wyglądał, jak zbrodniarz w chwili popełniania zbrodni.

Po chwili uspokoił się, wyszedł do przyległego pokoju, a w kwadrans później wyjechał tylną bramą ze zamku.

IV.

Nowa pokojówka.

Upłynęło dni czternaście.

Laura już wyzdrowiała, dzięki troskliwej opiece pani Renault. Blade jej lica krasił z dniem każdym coraz więcej pogodny rumieniec. Tylko dusza jej pozostała chorą, smutną, a pani Renault widziała często łzy w jej cudnych, niebieskich oczach.

Pewnego dnia troskliwa opiekunka wzięła jej rękę, ucałowała ją i patrząc na nią z miłością, rzekła:

— Pani hrabino, czy nie mogłaby mi pani podać przyczyny tego wiecznego smutku? Może w mem starem, współczującem sercu znajdzie się coś, co mogłoby panią pocieszyć.

Wtedy Laura wybuchła płaczem; złożyła głowę na piersi swej opiekunki i mówiła głosem, przerywanym łzami:

— Ach, ja jestem nieszczęśliwem stworzeniem i nawet sam Bóg, choć wszechmocny, nie zdoła mnie pocieszyć!

— Na Boga, to już zwątpienie! — zawołała pani Renault przerażona. — A przecież powinna się pani czuć szczęśliwą, mając tak szlachetnego małżonka, który panią tak serdecznie i gorąco kocha, który panią prawie na rękach nosi...

— I właśnie on — właśnie on jest przyczyną mego smutku, mojego serdecznego bolu — przerwała młoda kobieta.

— Nie rozumiem tego!...

— Wyspowiadam się przed panią, zwierzę się pani ze wszystkiem, jeśli mi pani przyrzeknie milczenie.

— Na Boga wszechwiedzącego i wszechmocnego przysięgam, że wszystko, co od pani usłyszę, zachowam w sercu, jako najświętszą tajemnicę.

Hrabina zaprowadziła ją ku oknu i posadziła obok siebie.

— Wysłuchaj teraz, dobra pani, tych okropności — zaczęła zdławionym głosem. — Jestem dzieckiem zbrodniarzy. Rodzice moi zostali skazani za ohydne morderstwo. Ojciec mój — och, nie mogę tego wymówić nawet — ojciec mój umarł na szafocie z ręki kata, a moja matka do dziś dnia siedzi jeszcze w kryminale. Z piętnem zbrodni i hańby na czole wyjdzie ona kiedyś na wolność, a jednak, chociaż tak tęskniłam za kochającem sercem matki, a jednak — będę ją przeklinała, ją i jej serce, jej uściski i jej miłość. Dowiedziałam się o tem dopiero po ślubie i od tego czasu nie śmiałam memu mężowi spojrzeć w oczy. Szczęście, jakie mi dawała jego miłość, zamieniło się w mękę. Cień straconego na szafocie ojca, cień matki, siedzącej w kryminale, cień ich niewinnej ofiary — niby upiory jakieś, stoją między mną, a mojem szczęściem.



...Drżąc cała ze wzruszenia, zakryła twarz rękoma...

Drżąc cała ze wzruszenia, zakryła twarz rękoma.

Pani Renault była opowiadaniem tem przejęta do głębi duszy. Nie zdolna, aby słowo jakie wymówić, wzięła w milczeniu głowę hrabiny i przycisnęła do swego głośno bijącego serca.

Płakały obydwie; łzy obojga mięszały się razem i spadały na ziemię, ale to były łzy ukojenia, balsam dla cierpiącego serca.

Wreszcie pani Renault wyrwała się z objęć hrabiny i uciekła do swojej izdebki, w której się na klucz zamknęła.

Młoda kobieta patrzyła na nią przez łzy.

— Jaka ona dobra, jaka miła i jak współczująca z cudzem nieszczęściem — szeptała nieszczęśliwa. — Ach! — dodała z westchnieniem — jakże słodko muszą płynąć te łzy, które nieszczęśliwe dziecko wylewa na czystem łonie matki!

Był piękny, słoneczny dzień. Hrabina popołudniu udała się sama w głąb ogrodu. Zamyślona chodziła po cienistych alejach, kiedy nagle, jakby z pod ziemi wyrosła, stanęła przed nią jakaś młoda, wykwintnie ubrana kobieta. Zdziwione patrzyły przez chwilę w milczeniu na siebie, w końcu nieznajoma wyciągnęła ku niej ozdobioną wspaniałymi pierścionkami rękę i rzekła:

— Jestem hrabianka Mironeau, imię moje Wilma; mogę panią zapytać, kto pani jest, moja kochana?

— Nazywam się Laura Matern i jestem — siostrzenicą młynarza pana hrabiego — odrzekła, podając jej z pewnem ociąganiem rękę.

— Przybyła pani pewnie w odwiedziny, nie?

— Tak jest, hrabianko.

— Pan Matern i jego żona, to bardzo zacni ludzie. Zaglądam do nich często, aby w cieniu tej wielkiej lipy wypić szklankę mleka. A przyznam się, że lubię ogromnie ten huk młyńskiego kamienia. Proszę, panno Lauro, może mi pani zechce na chwilę towarzyszyć.

Wziąwszy się pod rękę, szły oboje do oznaczonego przez hrabiankę miejsca i usiadły przy nakrytym białym obrusem stole.

Młoda hrabianka umiała tak pięknie i czule przemawiać, że Laura była nią zachwycona. Czuła, że ją dobroć i uprzejmość hrabianki porwały.

Naraz Wilma chwyciła jej rękę i rzekła:

— A to się cudnie składa! Przed kilku tygodniami zdarzyło mi się nieszczęście. Moja pokojówka, która raczej była moją towarzyszką i powiernicą, nagle zwaryowała. Do tej chwili jeszcze nie mam nikogo na jej miejsce. Czyby pani, panno Lauro, nie zechciała pójść do mnie na służbę? Pani mi się podoba i daję pani słowo, że będziesz dla mnie raczej siostrą i przyjaciółką, niż pokojówką. A więc, zgoda? Podaj mi pani rękę na znak, że pani się zgadza. No!

Laura podała jej wprawdzie rękę, ale zaczęła jej jeszcze perswadować. Jednak Wilma, dziecko szczęścia, nie była przyzwyczajona do oporu. Żadne jej życzenie nie pozostało dotychczas nigdy niespełnione, więc i teraz musiało się stać zadość jej woli.

— Będzie się pani u mnie podobało — zapewniała Laurę, kiedy w kilka chwil później wsiadała z nią do karety.

Podczas półgodzinnej jazdy młoda hrabina siedziała jakby snem ogarnięta i nie zważała na pieszczotliwe szczebiotanie Wilmy, która, jak się zdawało, była bardzo zadowolna, że udało się jej pozyskać Laurę na pokojówkę.

Wreszcie kareta stanęła przed terasem zamkowym.

— Jesteśmy u celu! Proszę wysiadać! — wołała wesoło hrabianka, wyskakując z powozu i podała Laurze rękę, aby jej pomódz przy zsiadaniu.

Potem weszły oboje na schody.

— Stryju, przyprowadzam sobie nową pokojówkę — zawołała Wilma do starego hrabiego, który właśnie wstał od podwieczorku. — Panna Laura Matern —

— Prawdopodobnie krewna mojego młynarza?

— Tak jest, stryjku, jego siostrzenica.

— W takim razie, dziecko, mam nadzieję, żeś zrobiła dobry wybór.

Mówiąc to, stary hrabia rzucił badawczym wzrokiem na smukłą postać hrabiny.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Straszny dramat rodzinny: Zwłoki Karola Berki, ucznia gimnazyalnego, zamordowanego przez własnego ojca.



Odznaczenie obywatelskie Krakowianina w Bośni: Franciszek Jakubowski, starosta i honorowy obywatel Dolnej Tuzli w Bośni.

Straszny dramat rodzinny.

Po jakich manowcach błąka się myśl zwyrodniałego lub złego człowieka — zanim uplanuje i wykona zbrodnię — trudno zaiste dla najbieglejszego nawet psychologa — określić. Granice obłędu i zbrodniczych instyktów są nader subtelne, a badania kryminalistyczne wykazują, że w większej części wypadków zbrodniarz działa w stanie chorobliwej ekscytacyi — okoliczność, która w osądzaniu ma niezmierną doniosłość.

Zwierzęcy wypadek jakiegoś szału czy rozbestwienia, wydarzył się niedawno w miasteczku Horodence. W biurze gminnem w charakterze oglądacza bydła i zwłok zatrudniony był niejaki Antoni Berko. Miesięczna jego płaca nie przenosząca 50 koron, nie wystarczała, niestety! — na najprymitywniejsze potrzeby rodziny. Berko był żonaty i posiadał siedmioro dzieci! To też widmo nędzy i głodu obrało sobie stałe siedlisko w rodzinie oglądacza. I tu zdaje się tkwi przyczyna strasznego dramatu — jaki się rozegrał w małym domku nieszczęśliwych ludzi.

Dnia 22 września br. przyszedł Berko dość późno w nocy, przespał się kilka godzin, a wstawszy rano dopuścił się strasznej zbrodni. Olbrzymią żelazną sztabą ugodził syna swego Karola w głowę tak silnie, iż tenże padł na miejscu trupem. O sile uderzenia świadczy wymownie załamana czaszka, której część aż w mózg się zaryła. Wyrodnemu ojcu mało jeszcze tego było. Strzelił jeszcze po dwakroć w skroń własnego dziecka. Następnie strzelił do żony, trafiając ją w usta i w głowę. Rany na nieszczęście nie są śmiertelne, aczkolwiek wiele cierpień przysparzają ofierze. Zbrodniarz szalał dalej. Tymsamym drągiem, którym syna życia pozbawił, postanowił i resztę niewinnych istot pozabijać. Rezutat — acz w zupełności zamiar się nie powiódł — był poprostu straszny: 16-letnia Stefania skaleczona w czoło, 13-letnia Marya w głowę, 10-letnia Helena w głowę i ramię, Kamila w głowę, a mały 3-letni synek w głowę i ramiona. Jedynie 9-letnia Eugenia wyszła cało z rzezi, ocalając swe życie skokiem przez okno, w chwili, gdy morderca tego nie zauważył.

Podłoga i ściany skromnej izdebki krwią opływały. Ofiary bezprzypomne jęczały z bólu i strachu przed zbrodniarzem. Szalony człowiek rozglądnął się wkoło, a nasyciwszy wzrok widokiem śmierci i zniszczenia — skierował morderczą broń przeciw sobie. Nie było mu jednak widocznie sądzonem ujść doczesnej kary na świecie i ludzkiej sprawiedliwości. Obydwa strzały nie odniosły skutku, morderca nadwyrężył jedynie czaszkę. Teraz oprzytomniał widocznie i z zimną krwią człowieka zdającego sobie sprawę z swych czynów — umył twarz i ręce z krwi i udał się do szpitala o pomoc lekarską. Żonę i pokaleczone dzieci odwieziono do szpitala i jest nadzieja utrzymania ich przy życiu. Ofiarę zbrodni, Karola ucznia drugiej klasy gimnazyalnej, pochowano przy olbrzymim udziale publiczności i asyście duchowieństwa. Zbrodniarz znajduje się w szpitalu i tam został poddany pierwiastkowemu badaniu.

Śledztwo prowadzi sędzia Hubel, który przy rewizyi w mieszkaniu Berka znalazł 3 listy. Z listów tych wynika, że zbrodnia była dawno, bo już przed 3-tygodniami uplanowaną, jakie jednak motywa rolę tu grały — dotychczas nie wyjaśniono.

Dwie ryciny, dołączone do artykułu, przedstawiają szczupłe mieszkanko Berków i syna zamordowanego podczas snu pod piecem.

Odznaczenie obywatelskie Krakowianina w Bośni.

Zdobyć sobie za swoją działalność obywatelską uznanie i poważanie u społeczeństwa, to zadanie trudne, ale równocześnie bardzo wdzięczne. Bo cóż może być dla człowieka przyjemniejszem, jak świadomość, że praca jego dla dobra współobywateli podjęta, cieszy się ich poparciem i uznaniem.

Takie uznanie spotkało w ubiegłym tygodniu Krakowianina, p. Franciszka Jakubowskiego, który pełni obowiązki starosty okręgu miejskiego w Dolnej Tuzli w Bośni. Działalność służbowa na ważnem stanowisku urzędowem, zalety osobiste p. Jakubowskiego, oraz jego wydatna w owoce praca, zyskały mu uznanie i poważanie nietylko u władz przełożonych, ale i wśród obywatelstwa. Rada miejska Dolnej Tuzli w Bośni, nadała mu bowiem w ubiegłym tygodniu jednogłośnie obywatelstwo honorowe. Zasługi p. Jakubowskiego są rzeczywiście wielkie i nie małej wagi. On to bowiem zreformował zarząd majątku gminnego w Dolnej Tuzli, zreformował budownictwo, podniósł i zorganizował straż pożarną, zapewnił miastu spokój i bezpieczeństwo publiczne, jego też głównie energii i staraniom zawdzięcza Tuzla nowy gmach gimnazyum, którego poświęcenie odbyło się w ubiegłym tygodniu.

P. Franciszek Jakubowski, bratanek rektora uniwersytetu Jagiellońskiego, urodził się w Krakowie w roku 1858, liczy więc lat 47. Po ukończeniu studyów gimnazyalnych i uniwersyteckich w Krakowie, wstąpił do służby politycznej jako praktykant namiestnictwa we Lwowie. Przydzielony



Straszny dramat rodzinny: Izba, w której Berko wymordował całą swoją rodzinę.

do starostwa w Krakowie, pracował pod hr. Badenim, poczem w roku 1886 przeniósł się na własne żądanie do Bośni, gdzie już w cztery lata później mianowany został naczelnikiem powiatu Maglaj. W roku 1892 przeniesiony został jako starosta do znanej miejscowości Jajce, a w sześć lat potem do Dolnej Tuzli, gdzie objął kierownictwo powiatu miejskiego oraz miejscowości fabrycznych; naczelnikiem powiatu miejskiego w Tuzli jest również Polak, p. Baron. P. Jakubowski na tem stanowisku przeprowadził ekspropryacyę kolei i dróg, a za pracę około podniesienia kultury krajowej otrzymał cały szereg dekretów pochwalnych. O tej jego działalności znajdują się bardzo pochwalne wzmianki w dziełach podróżniczych ks. Czerwińskiego, Bełzy i Virhofa. Prócz tego wydał p. Jakubowski bardzo wiele prac treści ustawodawczo-administracyjnej i regulaminów, zatwierdzonych przez rząd. Nadanie mu obywatelstwa honorowego Dolnej Tuzli, było wyrazem uznania i wdzięczności obywateli za jego pracę.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę p. Jakubowskiego.

Nowa placówka polska na Rusi.

Hen, na krańcach Rusi, w powiecie nadwórniańskim, tuż na granicy kołomyjskiej, powstała nowa osada mazurska na obszarze 2000 morgów.



Nowa placówka polska na Rusi: Ksiądz Karol Przyborowski proboszcz z Mariahilf, założyciel osady „Święty Józef“.

Pożądana ta placówka polskości na wschodnich kresach Galicyi, licząca już dzisiaj przeszło 1600 dusz, nosi nazwę „Święty Józef“ — a jest przedewszystkiem z tego względu osobliwą, iż niemal każdy powiat w Galicyi zachodniej ma wśród jej mieszkańców swoich przedstawicieli. Najwięcej kolonistów pochodzi jednak z brzeskiego, kolbuszowskiego, jarosławskiego i łańcuckiego.

Urządzeniem tej nowej gminy polskiej na Rusi zajmował się proboszcz z „Mariahilf“ w Kołomyi, ksiądz Karol Przyborowski i jego niemal wyłącznie zasługą powstał w osadzie Swięty Józef szereg pożytecznych instytucyj. Nie dość, że parcelacyą w ten sposób przeprowadził, iż każdy osadnik ma gospodarstwo krótkie a szerokie, dzięki czemu wypadło we wsi mnóstwo ulic prostych, długości od 1 do 3 kilometrów, z których każda nosi inną nazwę z napisem na tablicy — jak warszawska, wileńska, częstochowska, poznańska, krakowska, lwowska itp. Nie dość, że zaopatrzył osadę w dostateczną ilość studzien, ale postarał się tymczasowo o kościółek, założył kółko rolnicze ze sklepem i obszerną czytelnią, amfiteatralnie urządzoną obok laskuparku, dalej kasę Reifeisena, wreszcie z pomocą mieszkańców i Towarzystwa Szkoły Ludowej, wybudował szkoły murowane, mieszczące już obecnie 340 dzieci. Nadto staraniem ks. proboszcza powstała w gminie składnica pocztowa oraz cegielnia, a obecnie buduje się nowy, duży kościół parafialny dla tysięcy kolonistów polskich w Świętym Józefie i w sąsiednich osadach.



Fot. M. Todt. Przemyśl.

Walka o drożyznę mięsa w Przemyślu: Sklep magistracki, w którym sprzedają mięso wołowe.

Jeżeli się zważy, iż w krótkim czasie wszystko to powstało na miejscu, gdzie do niedawna odzywały się niekiedy tylko trąbki myśliwskie — zasługą jednego człowieka — to czyż nie należy pisać i mówić o tem głośno, by piękny przykład prac obywatelskich znalazł rychło jak najliczniejszych naśladowców w naszym biednym kraju, któremu w każdej okolicy przydałby się działacz taki, jak szlachetny ks. Przyborowski.

Walka z drożyzną mięsa w Przemyślu.

W roku bieżącym dała się mieszkańcom większych miast dobrze we znaki drożyzna mięsa, tego najwięcej używanego środka żywności. We Lwowie zmuszono magistrat do zajęcia się tą sprawą, w Krakowie do dziś dnia właściwie nic w tej sprawie nie zrobiono. Rzeźnicy okazali w tym roku taką solidarność, jakiej się nigdy po nich nie spodziewano. Stanęli wszędzie jak mur i nie ustąpili ani halerza z oznaczonej ceny. Ale nietylko w Krakowie i Lwowie panuje drożyzna i nie tylko w tych miastach z nią walczą. W ostatnich czasach i w Przemyślu, ceny mięsa doszły do niebywałej wysokości.

Magistrat przemyski ogłosił wielkimi afiszami, że dnia 28 z. m. otwiera dwa sklepy, w których sprzedawane będzie tanie mięso. To obwieszczenie magistratu przyjęto wszędzie z radością, ale okazało się, że radość była przedwczesna. Po otwarciu bowiem tych sklepów przekonano się, że między cenami u prywatnych rzeźników, a cenami w jatkach magistrackich, jest bardzo mała różnica, bo wynosi zaledwie 4 halerze na kilogramie, gdyż u prywatnych rzeźników kilogram mięsa kosztuje 1 kor. 44 hal., a „tanie mięso“ sprzedają w jatkach magistrackich po 1 kor. 40 hal. Rzecz naturalna, że wskutek tego frekwencya kupujących „tanie mięso“ jest bardzo mała, jatki więc magistrackie muszą być wkrótce zamknięte. Publiczność więc i teraz kupuje mięso u rzeźników prywatnych, gdyż zachodzi obawa, że w razie zamknięcia jatek magistrackich, także i rzeźnicy prywatni zamkną sklepy, że więc mięsa może braknąć zupełnie. Fakt ten jest najlepszym dowodem nieudolności magistratu przemyskiego, który nie zdołał postarać się o rzeczywiście „tanie mięso“ jak to zrobił n. p. magistrat lwowski.



Fot. M. Todt. Przemyśl.

Walka z drożyzną mięsa w Przemyślu: Sklep magistracki z wyrąbem mięsa krowiego.

Zygzakiem.

Małe ale dobrane towarzystwo — Solski wyznawca i spoczynek niedzielny w jego przedsiębiorstwie. — Wspomnienie klarnetu z Napajedel.

Po broszurze p. t. *Vater und Liebhaber*, w której p. Karol Włodzimirski czy też Dr. Otto Frischauer, były adwokat jego żony, w sposób ogromnie głupi i niedołężny wentylował pytanie, czy hr. Milewski jest nieprawym ojcem p. Cecylii, czy nie — ukazała się na półkach księgarskich praca takiej samej wartości moralnej i literackiej. wydana przez hrabiego papieskiego Korwin-Milewskiego, a sam tytuł książki wyjaśnia z kim mamy do czynienia. Tytuł ten w wiernym przekładzie polskim brzmi: „Odpowiedź hr. Korwin-Milewskiego udzielona Karolowi Włodzimirskiemu, utrzymankowi własnej żony“.

Aby skandal był szerszy i większy, wydał ją zacny hrabia państwa papieskiego w języku niemieckim. Wydał ją widocznie z obliczeniem na zysk, bo te cenne kwiaty uczuć papieskiego hrabiego, rozsyła on księgarzom tylko za gotówkę. Księgarze skwapliwie płacą, choć zwykle tego nie lubią, bo ten towar dobry, nęci okładką, zaleca się sam pikanteryą, której jest mnóstwo w wylewach idei hrabiego papieskiego. Figlarz Miluś, figlarka Cesia... Figlarz także Lulu, mąż Cesi — który dzięki żonie został publicystą. — I niech tu kto powie, że kobiety nie są natchnieniem, pobudzającem nawet cielęce mózgi do twórczości.

Broszura p. Karola Włodzimirskiego jest równie głupia jak ohydna, broszura „ojca i kochanka“ hr. Milewskiego równie ordynarna jak bezczelna. Obiedwie te książki są charakterystycznym przyczynkiem do etyki i kultury społeczeństwa, a jako paszkwile są z pewnością unikatem i stoją na najwyższym szczycie... pornograficznej nikczemności!...

Istotnie trudno zrozumieć, co mogło skłonić tych ludzi, już po skandalicznej rozprawie we Wiedniu, do ogłoszenia całego jeziora buduarowych brudów — drukiem. Co pragnęli przez to osiągnąć?

Z pewnością nie to co zdobyli: szyderstwo, politowanie, zgorszenie i pogardę. Z tych uczuć lwia część przypada obecnie hrabiemu państwa rzymskiego Korwin-Milewskiemu jako „honorowemu“ uwodzicielowi, który na zakończenie romansu ogłasza prywatne listy swojej kochanki!

Proszę się przyjrzeć tej gromadce: Jakiś mglisty hrabia, bajeczny milioner, niewiadomo skąd przybyły, dotknięty manją wielkości, wobec której w maż się rozlewała matka pani Cecylii, stara Płachecka, gdy hr. Milewski oświadczył jej, że gdyby zechciał może się ożenić z królową hiszpańską. Ten hrabia „katolicki“ za pośrednictwem malarza Wodzinowskiego zawiera umowę o „najem usług“ z p. Cecylią Włodzimirską... Przy tym interesie pośredniczą jeszcze adwokaci w Krakowie i Wiedniu a potem zaczyna się skandal bez kresu. Lolo Włodzimirski twierdzi, że jeszcze ciągle nic nie wie, w szczególności nie wie, czy hr. Milewski jest tylko kochankiem jego żony, czy także i ojcem. To pierwsze mógłby jeszcze znieść stroskany małżonek, noszący złotą szczękę, zapłaconą przez hr. Milewskiego, ale to drugie byłoby ciosem nie do przeżycia. Całej konfuzyi narobiła stara Płachecka, matka pani Cecylii, która nie może sobie widocznie stanowczo przypomnieć, czy zaszły kiedykolwiek takie okoliczności, któreby jej pozwoliły także hr. Milewskiego podejrzywać o ojcowstwo jej pięknej i w tak młodym wieku tak szeroko sławnej córusi.

Najlepszem zaś zakończeniem tej prostytucyjnej historyi, jest ostatnia wiadomość, że rzymski hrabia po zohydzeniu swojej kochanki, po znieważeniu jej i publicznem wyliczeniu wszystkich kwot, jakie jej za wdzięki wypłacił — pogodził się podobno z Cesią i zabrał ją znowu na swoją wyspę, aby „ojcowską opieką naprowadzić ją na drogę cnoty“.

A potem niemieckie szmoki gazeciarskie będą wszystkich Polaków i Polki z przewrotną zjadliwością stawiać na jednym poziomie, z tą bandą i rzucać szyderstwem i pogardą całemu polskiemu społeczeństwu.

Nie należy zazdrościć Rzymowi hrabiego papieskiego Korwin-Milewskiego... przeciwnie, trzeba zawsze i wszędzie z naciskiem podkreślić, że zacny, honorowy, wytworny kochanek pani Włodzimirskiej, jest rzymskim, a nie polskim hrabią.

W ogóle romantyczne przygody pani Cecylii czekają na zużytkowanie ich co najmniej w trzyaktowej sztuce, któraby niezawodnie za protekcyą Mikuckiego została wystawiona w teatrze krakowskim pod warunkiem, że będą w niej role dla przedsiębiorcy i jego żony.



Aleksander Bandrowski.

Nie gniewajcie się kochani czytelnicy, że znowu zaczepiam o przedsiębiorcę narodowego teatru w Krakowie. Czynię to z obowiązku, jaki ciąży na każdym amatorze teatru Krakowa, kontrolowaniu biegu spraw w świątyni sztuki, aby się ona nie stała tylko halą przemysłową.

Dzisiaj chcę tylko przypomnieć wzruszającą chwilę, kiedy p. Solski rozpoczynał próby ze swoim personalem teatralnym, który to personal nie przeczuwał jeszcze wówczas, jak bezlitośnie będzie nowy dyrektor wyzyskiwał jego siły i pracę. Chwilę tę chcę przypomnieć, aby wykazać jaka jest różnica pomiędzy „religijnością“ pana Solskiego, a jego instynktem przedsiębiorcy.

Otóż wówczas pan Solski zamówił mszę św. w kościele katolickim, a nie w ewangielickim zborze, czem chciał dać dowód poszanowania dla wyznania swojego personalu, oraz swego dawniejszego wyznania. Mszę odprawił bezinteresownie ks. Fąferko.

Zgromadziwszy potem artystów w teatrze, przemówił p. Solski do nich mniej więcej tak:

„Opatrzność, w porozumieniu z Radą miasta Krakowa, powierzyła mi teatr, a Mikucki i Wójcicki, wierni portyerowie moich bram, utorowali mi aż tutaj honorową drogę“. W tem miejscu otarł p. Solski, z niby wilgotnych oczu suche łzy i mówił dalej:

„Zaczynamy z małem, ale da Bóg dorobimy się. Wy kochani koledzy będziecie wprawdzie pobierali znacznie mniejszą gażę, ale za to będziecie mi wypełniać podwójne obowiązki. Spotka was jeszcze i to szczęście, że zobaczycie moją żonę, na której będziecie się mogli wzorować, będzie bowiem grywać wszelkie role: naiwne, bohaterskie, charakterystyczne, modern, antic, kilka męskich i kilka dziecięcych. Ja obejmę również taki sam repertuar... A więc w imię Boże — zaczynajmy“.

Artyści idąc na próbę, omawiali ze wzruszeniem głęboką religijność dyrektora i cieszyli się, że jego nowe wyznanie nie zmieniło w nim dawnych uczuć.

Tymczasem nastąpiło gorzkie rozczarowanie, gdyż p. dyrektor o tyle tylko pozwala chwalić Pana Boga o ile to jest potrzebne do jego interesu. Wobec tego co niedzielę odbywają się próby od godziny 9-tej rano do trzeciej, lub czwartej po południu.

Za reżyseryi Kamińskiego w teatrze krakowskim, był zawsze spoczynek w niedzielę, a jak wystawiano sztuki! Z pewnością dzisiejszy przedsiębiorca nigdy do tego nie do dzie.

Dziś aktor, który gra n. p. w sobotę w premierze, jest rano w sobotę na próbie od 9-tej rano do 3 lub 4-tej po południu, wieczór gra, więc jest w teatrze od 6-tej do 11-tej w nocy, w niedzielę znowu na próbie od 9-tej rano do 4 po południu, a jeżeli wieczór gra, znowu od 6-tej do 11-tej w nocy.

Jest to wyzysk ludzkich sił wprost bezczelny. Jeżeli już tak ciężko muszą ci ludzie pracować przez tydzień, to mają chyba prawo do spoczynku przez dzień w niedzielę. Pan Solski powinien się liczyć i z tem, że wiele osób z personalu teatralnego, chce istotnie iść w niedzielę na nabożeństwo, odbywające się w katolickich kościołach.

Przy takim porządku rzeczy, łatwo zrozumieć dlaczego p. Solski tak słabo grał w sztuce „Ponad siły“, przywódcę robotników, zwalczając go wyzysk kapitalistyczny...

Charakterystyczny fakt opowiadano mi wczoraj. Pan Solski grał we Lwowie w jakiejś sztuce, jak zwykle najlepszą, choć dla niego zupełnie niewłaściwą rolę. W roli tej miał p. Solski płakać, co też udaje znakomicie. W jednej z lóż znajdowała się rodzina z małym chłopczykiem, który nie bardzo rozumiał o co na scenie idzie. Widząc jednak p. Solskiego płaczącego, wzruszył się dzieciak i pyta ojca:

— Tatusiu, dlaczego pan Solski płacze?...

— Widzisz dziecko — wyjaśnił ojciec, pan Solski płacze z dwóch powodów: najpierw dlatego, że w tej samej sztuce równie dobrą rolę gra p. Roman, a potem dlatego, że p. Solski obydwu najlepszych ról w tej sztuce grać nie może“.

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki opowiem państwu wesołe zdarzenie z moich lat dziecinnych, jakie miałem w Napajedel, a które przypomniało mi się niedawno, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu.

Szedłem raz nocą przez wieś czeską i usłyszałem muzykę. — Było w karczmie wesele. Zaszedłem pod okna. Zawrotny tan wrzał w ciasnej izbie... Ale nad wszystkiem górował klarnet. Co za klarnet! Rozstrojony, skrzeczący, wrzaskliwy, fałszywy, straszny, chyba taki, co będzie wołał zmarłych na dolinę Josefata...

Nie mogłem wytrzymać pod oknem, choć interesowało mię chłopskie czeskie wesele... Klarnet mnie wypędził...

W dwie godziny później leżałem już w łóżku, ale ani sposób zasnąć... Klarnet chrapliwy, głuchy rostrojony, skrzeczący, grał mi w uszach i nie było sposobu uwolnienia się od tej okropnej muzyki...

Tak działo mi się blisko rok... Myślałem, że oszaleję, zasięgałem porady lekarskiej... Nareszcie ulitowało się nademną niebo i przebrzmiała, mi wreszcie muzyka chrapliwego klarnetu z Napajedel.

I oto dziś gra mi na nowo... Wzbudził się ten okropny dźwięk w moim uchu na przedstawieniu „Skarbu“ Staffa, gdy p. Solska zaczęła się zdobywać na dramatyczną siłę... Ten sam stary skrzeczący klarnet z Napajedel!... Boże zlituj się nademną!...

Odtąd już nie mam spokoju i drżę na myśl o przyszłej premierze, gdzie znowu będzie mi, niestety brzmiał ów skrzeczący, fałszywy, okropny, bezdźwięczny klarnet... z Napajedel... *Vide.*

Aleksander Bandrowski.

Artysta wielki, to prawdziwy kaplan sztuki, to twórca, który wyśnione w snach i wizyach poetów i kompozytorów postacie ożywia tchnieniem życia, wlewa w nie iskry myśli, daje im, że tak powiemy, krew i ciało. Nie jest to rzeczą łatwą i prawdziwie wielki artysta jest tak samo zjawiskiem rzadkiem, jak geniusz poetycki czy kompozytorski. Zaiste, mówiąc o artystach i sztuce, musimy powiedzieć, że „wielu jest wezwanych, ale mało wybranych“ do służenia tej świętej bogini.

Do tych wybranych należy bezsprzecznie jeden z najznakomitszych odtwórców postaci wagnerowskich, znany i uznany przez swoich i obcych na całym świecie, podziwiany i jako śpiewak i jako artysta, p. Aleksander Bandrowski.

Aleksander Bandrowski urodził się w Galicyi, w Lubaczowie, w r. 1860. Po ukończeniu nauk udaje się do Monachium, gdzie oddaje się studyom wokalnym u Sangiovaniego poczem kształcił się w Wiedniu u Luigi Salvi. Karyerę artystyczną rozpoczął właściwie w Lincu, poczem śpiewał w Berlinie, Kolonii i Gracu, wreszcie zaangażowany został do Frankfurtu. Odbył również tournee artystyczne po Anglii i Ameryce, zbierając wszędzie wawrzyny i — pieniądze. W tym roku wystąpi kilkakrotnie w operze lwowskiej.

Minister Cavaignac.

„Nie przyjmuję nagród, od tyrana!“ — oto słowa, które w 1867 roku wyrzekł jako czternastoletni zdolny uczeń, gdy mu w szkole chciano wręczyć nagrodę cesarza Godefroy Cavaignac, świeżo zmarły w Paryżu były minister francuski, słynny z czasów sprawy Dreifusa. Takim zaciekłym republikaninem pozostał od ławy szkolnej do końca życia. Syn generała, wsławionego w dziejach republikańskiej Francyi, urodzony w roku 1853, brał młody Godefroy, jako ochotnik, udział w wojnie z Niemcami w roku 1870, poczem oddał się studyom politechnicznym i prawniczym.

Pierwszy raz wybrali go ziomkowie do Izby poselskiej w roku 1884, a już w trzy dni później



Minister Cavaignac: Ostatnia fotografia znakomitego ministra francuskiego.

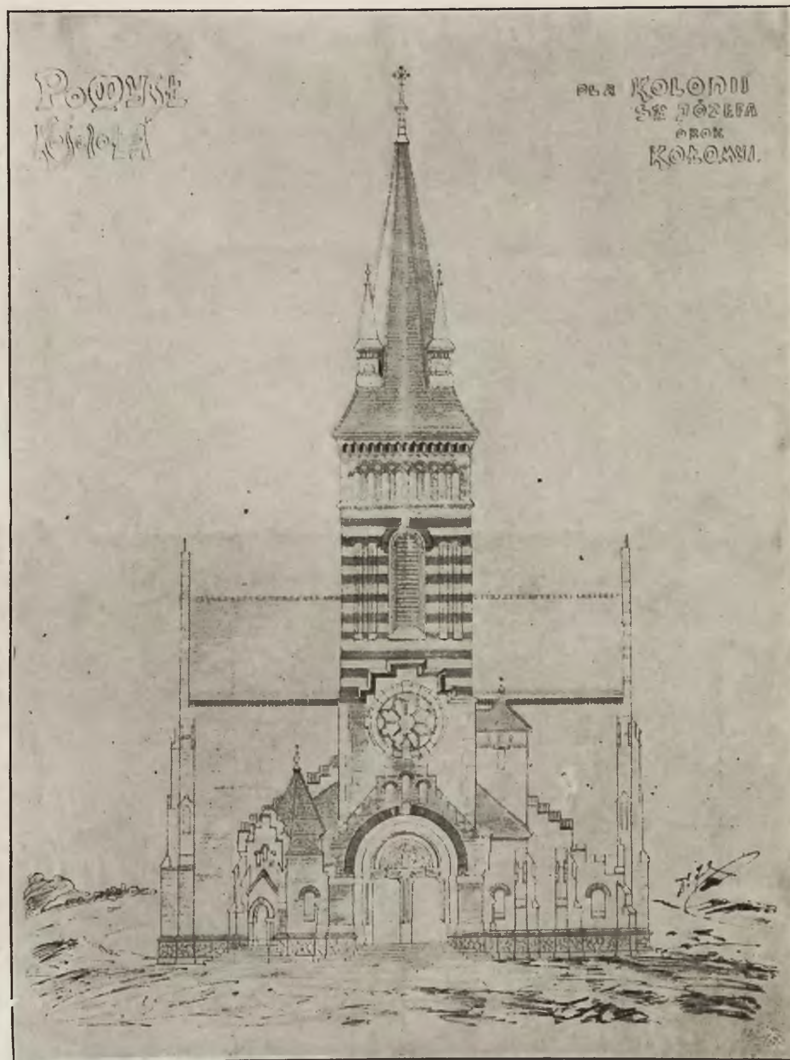
został Cavaignac podsekretarzem stanu w ministerstwie wojny, w gabinecie dzisiejszego radykalisty Brissona. Następnie w 1892 roku objął tekę ministerstwa marynarki w gabinecie Loubeta, a w roku 1895 został po raz pierwszy ministrem wojny. Był nim po raz wtóry w roku 1898 podczas przesilenia. wywołanego głośną sprawą Dreifusa, w składzie gabinetu Brissona i wtedy, wbrew oczekiwaniom, oświadczył się przeciw rewizyi procesu skazanego kapitana. W słynnej swej mowie przed Izbą zapewniał Cavaignac, że po zbadaniu aktów nabrał przekonania, iż Dreifus jest winnym i że go sprawiedliwie skazano. Wtedy to gwiazda Cavaignaca świeciła najświetniejszym blaskiem: widziano w nim przyszłego prezydenta republiki i najwybitniejszego męża stanu obozu umiarkowania republikańskiego. Wspomnianą mowę jego w sprawie Dreifusa uchwaliła Izba jednomyślnie ogłosić plakatami w całej Francyi. Wkrótce potem wszakże zaszedł fakt, który przynosił wprawdzie zaszczyt charakterowi Cavaignaca, stał się jednak przyczyną końca jego politycznej karyery. Wśród dokumentów, na jakich polegał Cavaignac, znajdował się jeden, którego autentyczność wydała się ministrowi, już po owej mowie, podejrzaną. Przyparty do musu przez niego, pułkownik Henry przyznał się do sfałszowania dokumentu, a Cavaignac kazał go uwięzić. W sierpniu 1896 poderżnął sobie Henry w więzieniu gardło brzytwą, a fałszerstwo jego wzmocniło stanowisko obrońców Dreifusa. Daremnie Cavaignac starał się zapewnić, że dokument Henry'ego w niczem na stan sprawy nie wpłynął, prąd oświadczający się za rewizyą procesu wziął górę w Izbie i w gabinecie Brissona. Wobec tego 3 września 1898 ustąpił Cavaignac z urzędu ministra wojny i od tej pory usunął się do życia prywatnego, nie mieszając się już do sporów partyjnych i politycznych.

Dopiero śmierć jego w ubiegłym tygodniu przypomniała znów światu tę wybitną postać francuskiego ministra.

Ojciec 56.000 dzieci.

Umarł jeden z największych dobroczyńców, jakich kiedykolwiek ludzkość znała; umarł człowiek, który w ciągu lat niewielu dosłownie stał się dobrym ojcem dla pięćdziesięciu sześciu tysięcy dzieci „niczyich“, bezdomnych, „arabów“ — jak te nieszczęsne istoty nazywają w Londynie. Wielkim tym filantropem był lekarz angielski, dr. Tomasz Jones **Barnardo**, urodzony w 1845 roku, a zmarły przed tygodniem w zaciszu wiejskiem w Mossford Lodge pod Ilfordem w hrabstwie Essex.

Młodym studentem przybył on w 1864 roku do



Nowa placówka polska na Rusi: Plan projektowanego kościoła w nowej osadzie Święty Józef.

Londynu na medycynę i teologię, chcąc przygotować się do ciężkiego zawodu misyonarza w Chinach. Ale poznawszy dokładnie przerażającą nędzę mieszkańców Eastend, najuboższej dzielnicy olbrzymiego Londynu, nabrał przekonania, że obowiązkiem obywatela angielskiego jest raczej zająć się na miejscu nieszczęśliwymi, aniżeli spieszyć na kraj świata, nawracać Chińczyków na chrześcijaństwo. Zajął się wtedy — mając lat 21 — najbiedniejszymi z najbiedniejszych, bo dziećmi, tułającymi się po Londynie dniem i nocą, bez domu, bez dachu, dziećmi, o które nikt się nie troszczył, bo albo rodziców już nie miały, albo też porzucone gdzieś przez matkę, nie znały nigdy opieki rodzicielkiej. On postanowił ratować te dzieci uliczne od upadku, od zagłady — i jakkolwiek dzieło



Ojciec 56.000 dzieci: Zmarły w Londynie filantrop dr. Tomasz Jones Barnardo.



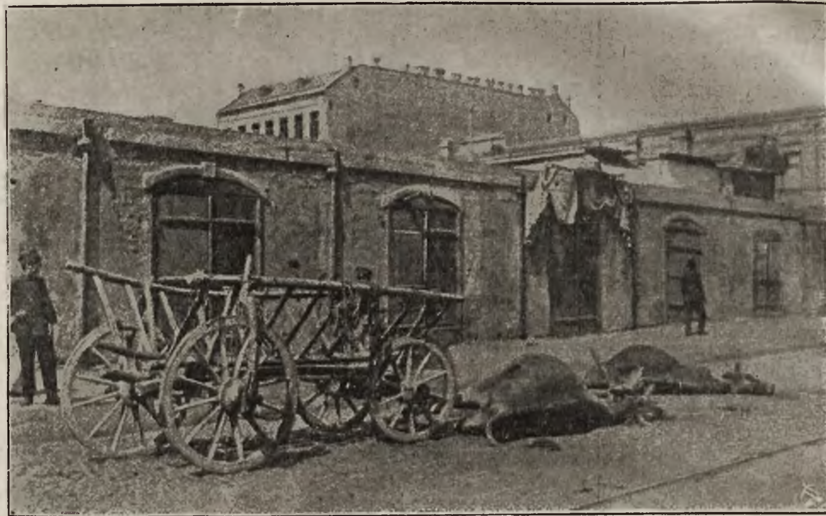
Nowa placówka polska na Rusi: „Kółko rolnicze“ w nowo powstałej osadzie „Święty Józef“.



Z krwawych dni w Baku: Zwłoki Armeńczyka, zamordowanego przez Tatarów w biały dzień na ulicy w Baku.

swoje rozpoczął bez grosza, doprowadził do tego, iż w ciągu 38 lat 56 tysięcy sierot bezdomnych w Londynie i to największych nędzarzy, zawdzięczało tylko jemu, że zrobił z nich ludzi użytecznych i uczciwych, dawszy każdemu oświatę i chleb na całe życie, a w chłopięctwie dobrą opiekę ojcowską. Powołał do życia 120 instytucyj dobroczynnych dla owych „arabów“ londyńskich, jak rozmaite kolonie, schroniska, przytułki, domy pracy, szkoły, szpitale itp. dla chłopców i dziewcząt, a wszystkie te instytucye rozporządzają dziś milionowymi funduszami i mają byt stały zapewniony i po śmierci dra Barnardo.

Nikt im już jednak nie zdoła zastąpić tego szlachetnego „ojca“, którego stratę opłakuje dziś tysiące nędzarzy londyńskich.



Z krwawych dni w Baku: Zaprzęg Armeńczyka, którego Tatarzy zamordowali na jednej z ulic w Baku.

Z krwawych dni w Baku.

Płomień rewolucyi, jaki tego roku ogarnął wszystkie prowincye rosyjskie, nie zagasł jeszcze doszczętnie, ale wybucha ciągle i to prawie zawsze ze zdwojoną siłą na rozmaitych punktach olbrzymiego imperyum. Cała Rosya prawie jest dzisiaj ekonomicznie i materyalnie wyniszczoną, w niektórych prowincyach już dzisiaj głód ludziom zaziera w oczy, a do zwycięstwa walczącego ludu jeszcze daleko. Największe jednak spustoszenia wywołała burza rewolucyi na Kaukazie, gdzie walka o swobody obywatelskie przemieniła się wkrótce w szowinistyczną walkę narodowości Kaukaz zamieszkujących, w prawdziwą wojnę między Armeńczykami i Tatarami.

Nienawiść, jaka powstała między tymi dwoma narodami, datuje się od niedawna i jest w przeważnej części dziełem krótkowzrocznej polityki czynowników rosyjskich. Pierwsze bowiem hasło do rewolucyi wyszło od samego rządu, który skonfiskował majątek kościelny Ormian, tak zwany u nich „skarb narodowy“. Zaczęły się wówczas rozruchy, skierowane przeciw rządowi, który, widocznie nie czując się na siłach do zgniecenia buntu, wmówił w Tatarów, że Ormianie podnieśli oręż przeciwko nim. Do pogorszenia sytuacyi przyczynił się fakt, że Ormianie zabili w Baku milionera tatarskiego, Babajewa. To wywołało u Tatarów żądzę odwetu. Rozpoczęły się więc w Baku i we wszystkich prawie ludniejszych miejscowościach formalne rzezie Ormian, którzy ulegli przemocy, gdyż Tatarów popierał potajemnie rząd, a raczej gubernator bakiński, książę Nadaszide, który niedawno zginął od bomby. Te pierwsze walki trwały kilka tygodni, rząd nareszcie widział się zmuszonym zwrócić Ormianom skonfiskowane dobra; walki ustały, a wśród Tatarów rozpoczęli Ormianie agitacyę antirządową. I rząd jednak nie próżnował, ale starał się ciągle winę rzezi i zaburzeń zwalić na Ormian i w ten sposób podżegał coraz bardziej jeden naród przeciw drugiemu.



Z krwawych dni w Baku: Dom bogatego Armeńczyka, Toumanoffa z Baku, zniszczony przez Tatarów.

Namiętności więc wrzały. Czekano tylko sposobności, aby się pomścić na Ormianach. Sposobność ta nadarzyła się 1 września. Komitet ormiański urządził wielki strejk i rozruchy uliczne w Baku. Tatarzy, podniecani przez rząd, wzięli się do likwidacyi rzekomych dawnych rachunków i rozpoczęła się znowu straszna rzeź Ormian, która pochłonęła kilkanaście tysięcy ofiar, a kraj cały prawie wyniszczyła. Kaukaz stanął w płomieniach i tylko z trudem udało się rządowi przywrócić spokój, zażegnać burzę, którą sam wywołał.

Illustracye nasze, zamieszczone w dzisiejszym numerze przedstawiają kilka scen z krwawych dni w Baku. Na jednej rycinie widać dom bogatego Tatara, Alieffa, zbombardowany przez kozaków w Baku, na drugiej dom Armeńczyka Toumanoffa, zniszczony przez Tatarów. Na trzeciej rycinie widać wóz Armeńczyka, którego Tatarzy w biały dzień zabili na ulicy. Na czwartej widać także ofiarę wściekłości Tatarów, zamordowaną i zmasakrowaną w okropny sposób.



Z krwawych dni w Baku: Dom bogatego Tatara, Alieffa w Baku, zbombardowany przez kozaków.

Walka z cholerą w Prusach.

Przed kilku tygodniami zaalarmowała całą Europę wiadomość, że w Prusach wybuchła cholera. Zawlekli ją tam kupcy i flisacy rosyjscy.

Co dzień prawie przynosiły telegramy wiadomości o nowych ofiarach tej strasznej choroby, a w Niemczech całych, w Królestwie Polskiem i całej zresztą Europie panował z dniem każdym coraz większy popłoch. Groza niebezpieczeństwa zawisła ciężką chmurą nad ludnością.

Cholera, jako choroba epidemiczna, jest jedną z najstraszniejszych plag, jakie obecnie trapią rodzaj ludzki. W zeszłym wieku była ona zupełnie prawie nieznaną. W roku 1830 panowała w straszny sposób w Rosyi, a równocześnie wypadki polityczne sprowadziły ją i do Polski, skąd rozszerzyła się dalej na zachód Europy. Odtąd już epidemicznie pojawiała się często, choć zawsze już była słabszą; najsilniejsza panowała w roku 1752. Srożyła się też silnie w roku 1892, szczególnie w południowej Rosyi i Hamburgu, gdzie poprostu zdziesiątkowała ludność, a trwała blisko trzy lata. Ostatnio wybuchła, jak wspomnieliśmy, przed kilku tygodniami w Prusach.

Przyczyną wywołującą cholerę, są laseczniki, odkryte i zbadane przez słynnego lekarza niemieckiego Kocha. Koch badał cholerę w jej właściwej ojczyźnie, w Indyach, dokąd się udał w roku 1883, wysłany specyalnie w celu zbadania istoty tej strasznej epidemii przez rząd niemiecki. Zarazki cholery są to krótkie, cienkie laseczniki, w postaci przecinka, posiadające swe własne ruchy. Rozwijają się na rozmaitych glebach, szczególnie na bagnach, wogóle w krajach wilgotnych. Do nas przywlekają cholerę zazwyczaj kupcy rosyjscy.

Ochrona przed cholerą jest rzeczą zarówno państwa, jak i każdego człowieka. Obecnie wszystkie państwa, zagrożone epidemią, zarządzają kwarantannę, ścisłą izolacyę chorych, dezynfekcyę mieszkań i t. p. I w Niemczech, gdzie teraz wybuchła cholera, przedsięwzięto wszelkie możliwe środki ostrożności, aby zapobiedz rozszerzaniu się tej okropnej epidemii. Przedewszystkiem poddano ścisłej kwarantannie okręty, przybywające wprost z portów azyatyckich i rozciągnięto dokładną kontrolę nad galarami i tratwami, z Rosyi. Flisaków, którzy głównie sprowadzili cholerę, badają lekarze i dopiero wtedy wypuszczają, kiedy się okaże, że rzeczywiście są zdrowi.

* * *

Ilustracya nasza, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia palenie galarów i tratew, przybyłych do Gdańska, na których zmarło kilku flisaków na cholerę.



Uczciwy Rosyanin: Generał Iwanow, b. prezes teatrów warszawskich. (Treść na str 2).



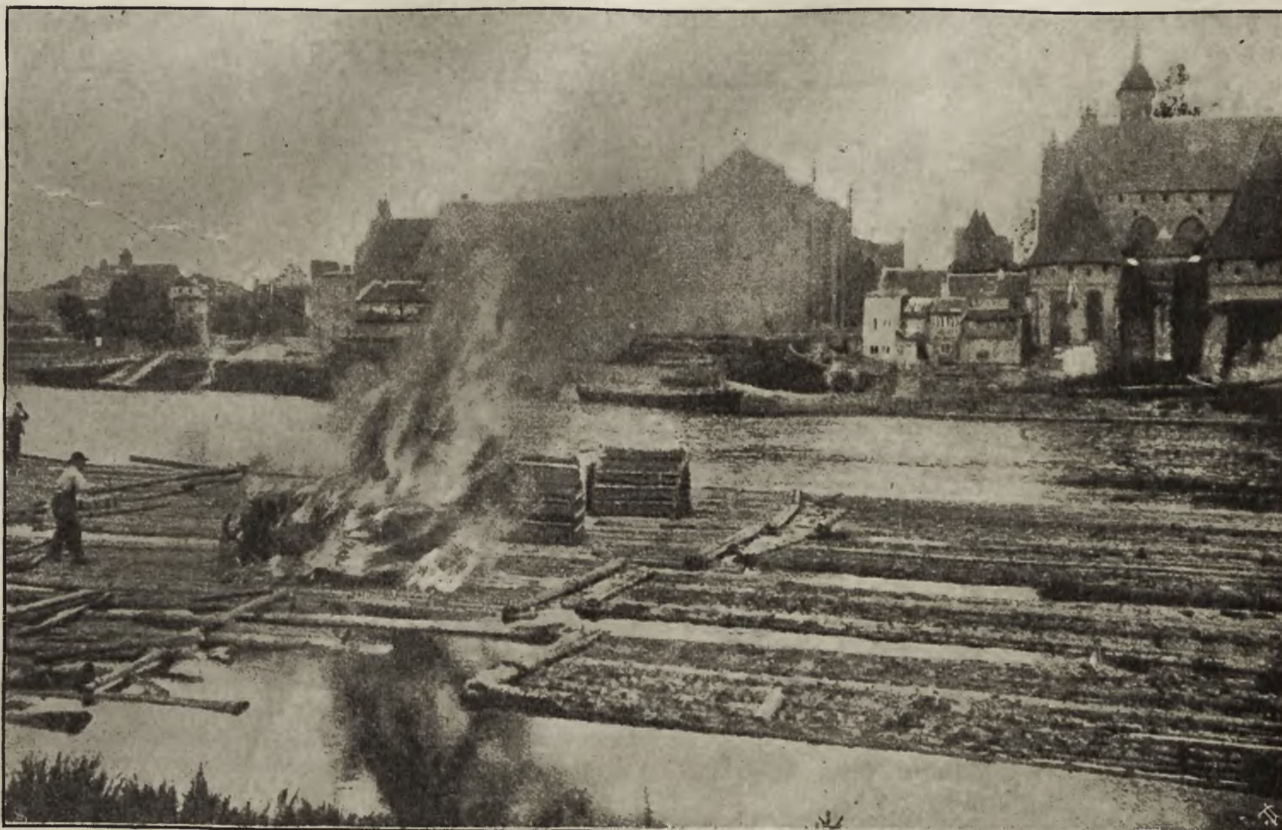
Katastrofa na kolei miejskiej w Nowym Yorku: Widok wagonu, który spadł na ulicę; w dali wagon, który się wsparł na balkonie domu.

Katastrofa na kolei miejskiej w Nowym Jorku.

We wszystkich prawie większych miastach, gdzie ruch na ulicach jest ogromny, zaprowadzono w ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego wieku koleje napowietrzne. Mają one znaczenie bardzo wielkie, bo ułatwiają komunikacyę między odległymi punktami, nie tamując bynajmniej ruchu pieszego i kołowego, jaki się odbywa na ulicach. Szyny bowiem ustawione są w górze, ponad ulicą, na rusztowaniach, opartych na wielkich filarach żelaznych. O ile jednak z jednej strony koleje takie są bardzo wygodne, o tyle z drugiej grożą nieraz poważnem niebezpieczeństwem. Lada bowiem nieuwaga lub nieostrożność, n. p. fałszywe nastawienie zwrotnicy na szynach rozbieżnych, powoduje katastrofę i sprowadza nieszczęście nie tylko dla tych, którzy się w takim pociągu znajdują, ale i dla przechodniów idących ulicą, jak to miało miejsce przed kilku dniami w Nowym Jorku.

Ilustracya, jaką zamieszczamy w dzisiejszym numerze, daje ledwie pojęcie o tej jedynej w swoim rodzaju katastrofie. Zdarzyła się ona na jednej z najruchliwszych ulic Nowego Jorku. Wskutek złego nastawienia zwrotnicy na kolei napowietrznej, wykoleił się pociąg, idący po wiaduktach nad ulicami. Jeden z olbrzymich wagonów spadł na ulicę, druzgocąc przytem front jednego z domów. Inny wagon wsparł się na balkonie gmachu i pozostał w tej pozycyi. Można sobie wyobrazić dolę nieszczęśliwych, którzy się znajdowali w tym wagonie, zawieszeni między niebem a ziemią. Pasażerowie, bliżsi wiaduktu, wyskakiwali na szyny, ryzykując życie. Inni wołali o miłosierdzie i ratunek, który wobec powszechnego przerażenia i trwogi, nie mógł przyjść natychmiast. Liczba ofiar tej katastrofy wynosi 55 osób. Z tych 25 zginęło, reszta ranni. Wypadek ten wpłynie niewątpliwie w znacznej mierze na ostrożność przy budowie kolei napowietrznych w przyszłości i na zwrócenie większej uwagi przy ustawianiu szyn na wiaduktach.

Illustracya nasza przedstawia widok wykolejonego pociągu, którego jeden wagon zwieszony jest z wiaduktu na ulicę, drugi sparty na balkonie jednego z domów.



Walka z cholerą w Prusach: Palenie towarów i ubrań na galarze w Gdańsku, na którym zmarło kilku flisaków na cholerę.

KRONIKA LWOWSKA.

(W czem przodujemy innym miastom? — Świetne zwycięstwo lwowskiej policyi. — Casus belli. — P. komisarz Stankiewicz. — Odebranie komendy. — Kandydat na wodza. — Jego głos. — Co robi policya? — Imieniny p prezydenta. — Dowcip (?) antycholeryczny. — Uratowany staw. — Zmiana czasu. — Sezon operowy i personal. — Miła wdówka. — Jaki kandydat. — Zabobony.

Możemy sobie powiedzieć na naszą chwałę, że choć w tylu miastach Austryi istnieje rządowa policya, to jednak nigdzie policya nie jest tak dzielną, jak nasza lwowska. Toby się przecie słyszało. A przecież z nikąd nie przychodzą wieści o dowodach tak chlubnej waleczności i dzielności! To tylko nasza lwowska policya odznacza się od czasu do czasu chlubnie na polu walki z pauprami i przeważnie odnosi świetne zwycięstwo. Tym razem chodziło podobno o uczczenie imienin prezydenta Michalskiego i w dniu św. Michała policya urządziła popis, który tak pod względem przebiegu, jak i pod względem wyjścia, w niczem nie ustępuje poprzednim niezliczonym zwycięstwom policyi lwowskiej. Powód walki był dość błahy, ale tu nie chodziło tyle o powód, ile o sposobność. A sposobność była wyśmienita.

Kilku pijanych posprzeczało się ze sobą słownie i policyant, który jest na to, ażeby był porządek, wmięszał się nieproszony między poważnionych, ażeby zrobić spokój. No i zrobił spokój... Taki lwowski... Gdzieindziej policaj byłby rozpędził pijanych i byłoby cicho. Nasz policaj ma honor. On naprzód „haresztuje“. Ot i *casus belli*... Gdzie który pijany dał się odrazu aresztować? Nowa sposobność. Opór władzy. Gwałt publiczny. Wyciąganie szabli. Skaleczenie. Zbiegowisko. Pomruk tłumu. Ot, jak zwykle. To zresztą znane z dzienników. I masakra niewinnych przechodniów. Dzielne czyny policaja Nr. 45, czy 54. Ale nic nie wspominają dzienniki o p. komisarzu Stankiewiczu, choć on zasłużył na specyalną pochwałę. Zajechał jednokonką na plac boju i objął odrazu naczelną komendę. Myślano z początku, że skoro między kilkunastu bezmyślnych policajów wlezie bodaj jeden myślący, bo komisarz, to wszystko pójdzie gładko i winnych spotka należyta kara. Pan Stankiewicz jeszcze w dryndzie siedząc odebrał od policajów relacyę, kazał przywołać policyanta Nr. 45 czy 54, który tymczasem schował się do gmachu komendy korpuśnej, wysłuchał go, a tłum czekał na „wyrok“ p. komisarza. I musiał się zdziwić ten durny tłum, skoro widział, że p. komisarz puścił wolno policajarzeźnika, który pokaleczył i porąbał niewinnych przechodniów, a sam wyskoczył z fijakra i zaczął tańczyć po całym placu wołając ochrypłym głosem a raczej wrzeszcząc zadarłszy głowę do Pana Boga:

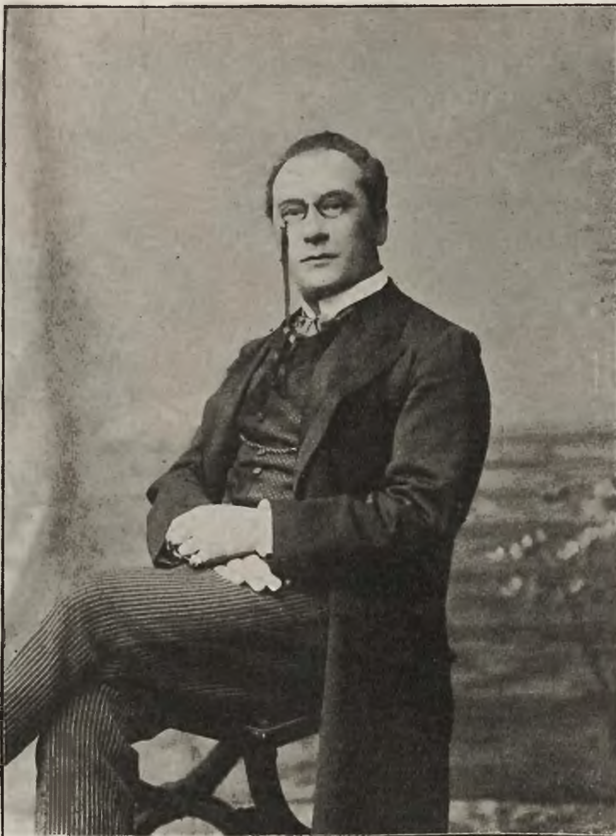
— Zaraz się rozejść! Precz stąd! Rozpędzić wszystkich! Kto nie rozejdzie się to areszt ować! Skuć! Odprowadzić! Aresztować! Rozpędzić! Aresztować!

Na to tylko czekały policaje. Dotąd spokojni rzucili się ślepo na tłum, końmi zaczęli tratować kobiety i dzieci, tłum wybladły, przerażony, rzucił się do ucieczki i tylko dzięki wygodnemu miejscu obeszło się bez dalszego nieszczęścia a skończyło się na strachu dzieci i kobiet, na masowem przewracaniu się spokojnych ludzi, którzy zwabieni wrzaskiem dzielnego komisarza zatrzymali się na chwilę w obok położonym ogrodzie. Cóż dziwnego, że poważny i szanujący się komisarz musiał potem usłyszeć kilkaset chóralnych epitetów i wykrzykników:

— Hańba Stankiewicz! Precz z takim komisarzem! Wiwat dzielny komisarz! Nie żyje sprawiedliwość! Niech cię djabli wezmą! Brawo! itd. itd. jeszcze lepiej...

Byłem na miejscu od pierwszej chwili i słyszałem wszystko a jednak nie wyczytałem tego w żadnym dzienniku. Jakże ma taki idyotyczny policaj jutro nie rąbać, skoro dziś sam „pan komisar“ w ten sposób pochwalił i aprobował jego dzisiejszą rąbaninę? Cała wina spada więc na tych komisarzy, którzy pochwalają dzielność policajów, zamiast karcić ich wybryki.

Co zaś do osobistych przymiotów p. Stankiewicza to niewątpliwie zasłużył na jakiś orderek Sk ro p. Mora-Korytowski otrzymał odznaczenie za misterne wyciskanie podatków, to p. Stankiewicz zasłużył na nie za tak rzadką w dzisiejszych czasach dzielność. Sfery wojskowe powinny zwrócić uwagę na p. Stankiewicza i pozyskać go dla siebie. W nim drzemie wielki wódz.. A ma do tego nietylko temperament, ale i głos bajeczny, bo słyszano go na całym placu Bernadyńskim i wszystkich ulicach: Piekarskiej, Pańskiej, Czarneckiego, Serbskiej, Łyczakowskiej, Halickiej, Batorego Wałowej, na placu Maryackim, na początku Akademickiej, a nawet i w rynku. Więcej żądać nie można.



Władysław Floryański.

Na placu Bernadyńskim została kałuża krwi ludzkiej, a liczny tłum komentował całe zajście długo, przeważnie na chwałę policyi, która potrafiła zdobyć sobie zaufanie i popularność dzięki swoim kierownikom.

To wszystko razem trwało kilka godzin (od 3—7). Pytanie teraz, ile byłoby trwało, gdyby na miejscu nie było policaja i jaki byłby przebieg?

Z pewnością byłoby o wiele lepiej. Pijani byliby się rozeszli, nikt nie straciłby ręki na całe życie, nie byłoby awantury... Najlepszym dowodem jest ta okoliczność, że między pijanymi zdarzają się każdej nocy kłótnie i wszędzie kończy się na niczem, jeśli np. niema przy tem policajów. A więc do czego ta policya?...

Tak uświetniliśmy dzień imienin naszego prezydenta w mieście. Zaś u samego p. Michalskiego zebrało się liczne grono przednich gości i składano solenizantom mniej lub więcej szczere gratulacye. Mało tylko mówiono o sprawach miejskich, przeważnie w dowcipach.

Ale bo też tylko dowcipem nazwać można całą akcyę antycholeryczną. Łaziła komisya złożona z radnych od domu do domu, badała, wąchała, macała, wypytywała, próbowała, kręciła nosem i wyrokowała: „tę łaźnię zdemolować i zasypać, ten chajder zamknąć, tamto podwórze oczyścić i t. d.“ Długi spis brudów, śmiecia, rozsadników chorób epidemicznych... Wszystko to miało się oczyścić, zniszczyć, zas pać.. Ba — ale to się tylko tak mówi.. Taki „skazany“ na zniszczenie, zasypanie lub oczyszczenie, niegłupi już dziś łożyć pieniądz na to, ażeby za rok być jeszcze bezpiecznym przed cholerą. Do roku zaniecz ści się jeszcze dziesięć razy, a ciągle czyścić to dob e dla jakiegoś forysica od oficera, a nie dla cywilnego kamieniczn ka, lub właściciela łaźni tj. miejsca, gd ie ludzie zostawiają swoje brudy a zabierają ze sobą cudze. Nuże więc szukać protekcyi u grubych ryb gminnych.. „Gwałtu chcą nas na śmierć zaczyścić, nie dajcie nas!“ I fizykat poleca zamknąć chajder lub łaźnię a jakaś gruba ryba poleca otworzyć. Jedni zamykają inni otwierają.. Cholera wścieknie się z radości, gdy przyjedzie do Lwowa. Mówią, że jest w tem czarna intryga lekarzy, którzy czekają na cholerę z utęsknieniem.

W podobny sposób uratowano dla cholery znany, przysłowiowy, historyczny staw ek w parku Kilińskiego. Już miano go zasypać, już miano urządzić pożegnanie uroczyste miłego stawu, puścić łabędzia jeszcze bodaj raz jeden, ażeby w oczach publiczności zdechł od oparów, gdy w tem przyszła niespodziewana wieść radosna, że mag strat na wniosek komisyi budowlanej postanowił nie zasypywać już stawu, ale owszem zachować go i oczyścić. Z kolei wszystkie żaby, pijawki i szczury ze stawu starają się o protekcyę w magistracie, ażeby stawu nie oczyszczano. I jest poważna nadzieja że na to znajdzie się protekcya a magistrat z przyjemnością przychyli się do tej prośby...

Za to wiele ambarasu wywołało zamierzone wprowadzenie czasu środkowo-europejskiego we Lwowie. Między zegarem kolejowym a ratuszowym nie będzie odtąd żadnej różnicy. Dotąd bowiem mieliśmy we Lwowie różne czasy. Kto np. miał o godzinie dwunastej w nocy wrócić punktualnie do domu, ten mógł po wybiciu dwunastej u Bernardynów pociągnąć jeszcze ze dwie bombki pilznera, bo na ratuszu biła dwunasta o siedm minut później, potem jeszcze o pięć minut później i a kościele św. Magdaleny a do niedawna jeszcze później na zegarze w pasażu Hausmana. Tak bije we Lwowie dwunasta godzina, od dwunastej do godziny pierwszej prawie... Na samym końcu idzie dworzec kolejowy, na którym dwunasta bije o 36 minut później. Teraz cały porządek posunie się o 36 minut. Stróżowie kamieniczni wyrywają sobie włosy, bo oni najgorzej na tem wyjdą. O blisko trzy kwadranse później zamykać bramy to jest coś, co się w głowie stróża pomieścić nie może. A potem te wszystkie zmiany w urzędach, w porach domowych, w teatrze, w naznaczaniu schadzek, w płaceniu weksli. Ile mistyfikacyj będzie, ile scen, ile *qui pro quo'ów*, zanim Lwowianie przyzwyczają się do nowej rachuby. Cieszą się tylko kobiety... One wszystkie będą teraz o 36 minut młodsze... to także coś warte.

Sezon operowy już się rozpoczął. Ludzie oblęgają kasę i zdobywają szturmem bilety. Personal operowy niezdecydowanie skombinowany. Są artyści angażowani na dwa, trzy spektakle, są inni, którzy są już i jeszcze nie angażowani, na cały sezon tylko nieliczni. Są już nawet i małe kwasy z tego powodu. Nadto zapowiada się cały szereg niespodzianek operowych.

A teraz co innego. Przed trzema miesiącami mieszkała we Lwowie pewna kobiecina. Nie była pięknością, ale niczego sobie... Jej zawód? Na małą skalę prywatne przedsiębiorstwo pogrzebowe. Ale dla własnego użytku. Pochowała już bowiem trzech mężów. Teraz szukała czwartego kandydata. Znalazł się, bo miała *gotiu*. Oczywiście, że nic mu o poprzednich towarzyszach doli nie mówiła. Wspomniała tylko mimochodem, że jest wdową. Nie szkodzi... On zgadza się, a pikantna wdowa szczęśliwa, że znalazł się śmiałek. Sama bowiem wierzyła już w swoją misyę grzebania mężów. Stało się to u niej niejako zabobonem.. Bo kto trzech mężów pochował... Ona na jego miejscu nie wzięłaby takiej wdowy... Jakoś na dwa tygodnie przed ślubem odesłała mu jednak podarki, listy i fotografię...

Co się stało? Dowiedziała się, że on już cztery żony pochował. Ona miała być piątą... A, że była zabobonną... *Kl.*

Władysław Floryański.

(Do portretu).

W rzędzie śpiewaków operowych, którzy imię polskie rozsławili poza granicami kraju naszego, poczesne miejsce zajmuje także Władysław Floryański. Śpiewak to prawdziwie z bożej łaski, odczuwający piękno i artyzm, obdarzony przytem głosem, który nadaje się znakomicie do wywołania w duszy słuchaczów najrozmaitszych uczuć. Głos jego drga bowiem metalicznym dźwiękiem siły, to znowu upaja senną rozlewnością i roztęsknieniem, lub wybucha goryczą dławionego przemocą bólu. Ktoż nie pamięta Floryańskiego w operze „Żydówka“? Kto go słyszał wtedy, ten nie zapomni nigdy wzruszenia, jakie go ogarnęło, kiedy Floryański swym silnym, serdeczną nutą zrozpaczonego serca drgającym głosem, śpiewał tę słynną aryę: „Rachelo, kiedy Pan...“ Bo Floryański śpiewem swoim porusza do głębi duszy i wywołuje w słuchaczu uczucia, jakie go samego chyba ogarniają, gdy go muzyka oczaruje, gdy zapomni o życiu powszedniem, a żyje jeno muzyką i pieśnią. Tak działać może tylko wielki, prawdziwy artysta, który ma duszę wrażliwą i czułą na piękno, a przytem światomy jest swego talentu — tak że wrażenie silne, niezatarte, wywołać może jedynie prawdziwy artyzm.

W Galicyi nie mieliśmy sposobności słyszeć częściej p. Floryańskiego. Przyczyną tego był brak opery w naszym kraju W tym roku dyrektor teatru lwowskiego p. Pawlikowski zorganizował operę i jak słychać, zaangażował do swej trupy szereg znakomitych śpiewaczek i śpiewaków, między nimi i Floryańskiego. Lwów będzie więc w tym roku miał sposobność usłyszeć i znakomitego artystę, który jest dzieckiem Lwowa, a dotychczas nie mógł prawie wystąpić w swem rodzinnem mieście.

W uzupełnieniu tej krótkiej sylwetki zamieszczamy obok portret p. Floryańskiego.



Ponad siły

sztuka w 2 częściach a w 6 odsłonach przez Bjoernstjerne-Bjoernsona, przekład Kasprowicza. (Premiera z dnia 30 września 1905).

Odwieczna walka duchów, myśli, uczuć, walka wciąż trwająca, nigdy nieskończona, jest treścią bądź co bądź niepoślednięgo dzieła, które znacznie reżyserskim ołówkiem okrojone ujrzeliśmy w ubiegłą sobotę na krakowskiej scenie.

Naiwna czy ślepa bezkrytyczna wiara w nadprzyrodzoność wydarzeń, z jednej, powątpiewanie, niewiara z drugiej, w łonie jednej rodziny powodują konflikt dramatyczny, ujęty w ramy pierwszej części sztuki. Tu trwa walka duchów i przekonań, nad głowami ludzi toczy się jakoby starożytne fatum, które miota nimi jak chce i wbrew ich woli popycha do zguby.

Żona pastora Sanga złożona ciężką chorobą, a życie jej już kresu dobiega. Mąż jej, kocha ją nad życie, jest wierzącym z głębokiego przekonania, pewnym jest przeto, że modlitwą zdoła uprosić jej wyzdrowienie. Aby modlitwa była skuteczniejszą pragnie Sang, aby i dzieci jego, Eliasz i Rachela, modliły się o wyzdrowienie matki.

Atoli wtedy dowiaduje się, że jego dzieci modlić się nie umieją, nie mogą, gdyż powątpiewanie zburzyło im wierzenia. Potrzeba więc w domu pobożnego pastora podwójnego uzdrowienia: żony z choroby fizycznej, dzieci z niewiary. Na to potrzeba cudu. Pastor modlitwą uprosił cud, żona podniosła się z łoża choroby. Czy jednak żyć będzie? pytają dzieci, jeszcze nie przekonane. Wiadomość o cudzie rozchodzi się daleko, zewsząd zjeżdżają się do pastora ludzie pragnący cudu dla siebie, przybywa także biskup w gronie pastorów, którzy sądzą cud i cudotwórcę i orzekają wreszcie, że nie da się stanowczo stwierdzić, czy to naprawdę cud. Trzebaby do tego osobnej komisyi, lekarzy etc. słowem, wiarygodnej kontroli.

Faktem jednak jest, że podczas modlitwy Sanga żona jego, trapiona od dłuższego czasu bezsennością, usnęła, sen ten pokrzepił ją i zdrowie jej zdawało się powracać. Pani Sang wstaje o własnych siłach, zjawia się ku zdziwieniu zebranych na naradzie pastorów, wypowiada do męża jedynie słowa: „Jakaż to jasność bije od ciebie!“ — i pada nieżywa. Pastor Sang umiera również, wypowiadając tylko bezsilnie słowa: „Nie o to się modliłem“. Sprowadzić uzdrowienie żony, powrócić dzieciom utraconą wiarę, nie zdołał Sang. To było ponad jego siły.

Część druga, to walka inna, żywa, walka na ziemi, również tak dawna jak świat i ludzie, walka biednych z bogaczami, pracy z kapitałem. Syn pastora Sanga, Eliasz, wraz z pastorem Braethem, zostają działaczami społecznymi, agitują, organizują lud roboczy, przygotowując go do walki o zmianę ustroju kapitalistycznego na komunistyczny. Wkrótce jednak przekonywują się, że przedsięwzięcie to jest ponad ich siły. Kapitaliści i fabrykanci nie chcą dobrowolnie ustąpić, grożą ludowi armatami i bagnetami w razie strejku lub oporu, a działacze Braeth i Eliasz Sang są bezsilni, nie mają środków pieniężnych na prowadzenie dalszej walki i pracy agitacyjnej. Wtedy Eliasz wpadł na myśl rozpaczliwą. „Tylko śmierć może sprowadzić odrodzenie.“ Wciska się jako lokaj do zamku, gdzie obradują fabrykanci i kapitaliści otoczeni zbuntowaną służbą, która otrzymała rozkaz, aby nikogo ze zamku nie wypuszczać. Zamek jest podminowany. Gdy fabrykanci stanowczo uchwalają nie czynić żadnych ustępstw, Eliasz wstępuje na trybunę i oznajmia im, że za chwilę zginą wszyscy. Scena groźna, przejmująca. Eliasz daje znak, lecz w tej chwili ginie od wystrzału z ręki fabrykanta Holgera. Następuje wybuch, urządzony bardzo efektownie.

Tu właściwie kończy się sztuka. Obalić kapitalizm a polepszyć swoją dolę, jest „ponad siły“ ludu roboczego. Takim jest posępny wniosek autora sztuki.

W ostatniej odsłonie następuje melodramatyczne pojednanie między ocalonym, ale pokaleczonym kapitalistą Holgerem, a Rachelą córką Sanga, siostrą Eliasza, którego zastrzelił Holger. Holger dobrowolnie daje ustępstwa robotnikom, a Rachela pielęgnuje kalekę i poświęca mu swe życie. Ze śmierci i ofiary jednych, drugim korzyść i moralne odrodzenie — zwykły bieg wydarzeń na świecie.

Wystawa sztuki, dzięki pożyczonym ze Lwowa dekoracyom i przyrządom do wybuchu, była bardzo ładna i w znacznej części zdecydowała o powodzeniu sztuki, która zresztą zbyt często toczy się dolinami melodramatu.

Natomiast obsada sztuki, znowu dzięki rolofagii państwa Solskich, nietylko na dochody teatralne ale i na role, była zła właśnie w tych rolach, które grali pp. Solscy. Jakim ten p. Solski był pastorem? Gdzie nimb, proroczy urok, gdzie postać? Wszak mu brak zupełny warunków do tej roli.

Ale p. Solski jest niepoprawny. On będzie grał wszystko, byleby nie wydać na gażę dla bohatera, którego istotnie niema w naszym teatrze.

Dowiedzieliśmy się przy tej sposobności, że p. Solska grywa także „naiwne“. Jej Rachela była jednak fatalną, a braki głosowe p. Solskiej ujawniły się więcej niż kiedyindziej. Brak p. Mrozowskiej znowu dał się dotkliwie uczuć. W składzie naszego personalu rolę tę powinna była grać p. Ordon-Sosnowska. Zasługuje również na surowe skarcenie, uchybiające wszelkim prawidłom reżyseryi, pochłonięcie obydwu głównych ról przez p. Solskiego. O taką ciasnotę nie podejrzywałem nawet p. Solskiego. W tej samej sztuce grał swojego własnego ojca, potem znowu swojego syna! Gdyby był jaki epilog z niemowlęciem, byłby zagrał i to niemowlę, oczywiście równie źle jak rolę pastora. To już graniczy z chorobliwą manią. Jaki zaś zamęt powstał przez to wśród większości widzów, łatwo zrozumieć.

Znakomitej grze p. Wysockiej i pp. Sosnowskiego, Zelwerowicza i Stanisławskiego należy się prawdziwe uznanie. Sztuka trwa do północy i nuży. *Oświk.*

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

19 (Ciąg dalszy).

Doktor zagrywa chłopakiem!...

Cała familia Springerów była wzburzona tak długą nieobecnością Heleny.

— Co to właściwie ma znaczyć?!... — trwożyła się stryjenka Amelia — przecież ona tu nie zna się z nikim i nie mogła nigdzie pójść w odwiedziny, więc chyba zabłądziła!...

Doktor Harras, który właśnie nadszedł, widocznie obawiał się czegoś innego, bo z poważną miną zwrócił się do stryja Franciszka:

— Mój drogi, musimy przyspieszyć ślub. Dość już tych przygotowań i trzeba raz zacząć grę, zwłaszcza, że atuty mamy w naszem ręku!...

— Zacząć grę? co pan myślisz pod tem wyrażeniem, doktorze?

— Potem ci to wytłómaczę! Przedewszystkiem trzeba, aby Helena tu była i żebyśmy wiedzieli, co robiła do tej pory w mieście! *A propos*, czy ty jesteś pewny, że ona nie otrzymała skądś listu, dajmy na to od tego Amerykanina, albo od innej jakiejś podejrzanej osoby?

— Nie otrzymała! na to mogę przysiądz każdej chwili — rzekł z przeświadczeniem Franciszek — cała poczta przechodzi przez moje ręce, a na służbę mogę się spuścić i wiem dobrze, że nikt po za mojemi plecami nie może porozumieć się z Heleną!

— Dobrze! Cieszyłoby mnie to bardzo, gdyby istotnie rzeczy miały się tak, jak ty je przedstawiasz! Zwłaszcza, że i tak mamy dość troski i kłopotów! To milczenie ze strony Bergmana, który powinien już być tutaj z powrotem, przysparza mi nie mało niepokoju...

— Na miłość boską, doktorze! — jęknął Franciszek — przecież chyba nie sądzisz...

— Ja nic nie sądzę! — przerwał gniewnym głosem doktor Harras — bo ja mam czyste sumienie i nie potrzebuję się niczego obawiać! Powiedziałem tylko, że ten brak wiadomości zaczyna mnie denerwować! Przypuszczam, że nasz przyjaciel, przyszedłszy tu łatwo do grosza, hula teraz sobie w Ameryce i nie troszczy się wcale o nasze interesy. Będziemy więc musieli spokojnie czekać, póki nie straci wszystkiego i nie będzie znów zmuszony uczciwie zapracować na kawałek chleba!...

W tej chwili dało się słyszeć pukanie i gdy doktor zawołał: „Proszę“! w drzwiach ukazała się twarz stryjenki Amelii, która opuściła była pokój, gdy tylko doktor Harras zaczął się naradzać z Franciszkiem.

— Przepraszam cię Franciszku! – rzekła prawie szeptem — ale ta Helena...

— Co się stało?! — zawołał z obawą w głosie Springer — czy Helena już powróciła do domu?

— Tak, ale zaraz zamknęła się w swoim pokoju i nie chce wpuścić nikogo, ani mnie, ani pokojówki. Doprawdy, sama nie wiem, co mam robić! Springer spojrzał pytająco na doktora, jakby go prosił o radę, a Harras odezwał się po krótkim namyśle:

— Niech pani pośle do niej Albertynę, pani Amelio! Ona chyba najprędzej dostanie się do tej zwaryowanej Heleny!...

Ale Albertyna stała tuż za plecami i usłyszawszy słowa doktora, weszła śmiało do pokoju.

— Albertyna ślicznie dzięku e za zaufanie! — rzekła ostro, spoglądając z nietajonym gniewem w oczy doktora — ale nie podejmie się zaszczytnej roli szpiega! Raz już panu powiedziałam, że powinno to panu wystarczyć, jeśli milczę, nie zdradzam waszych machinacyi i do niczego się nie mięszam! Nie liczcie jednak nigdy na mój współudział w waszej podłej polityce!...

— Albertyno! — krzyknął z wściekłością Springer — milcz, albo...

— Tylko się nie irytuj mój ojcze! — odrzekło chłodno młode dziewczę. — Jabym z pewnością była nie nie powiedziała, gdyby pan doktor nie myślał obarczyć mnie tak podłą misyą! I miłość, czy też obowiązki względem rodziny mają swoje granice!...

— Albertyno! ty zapominasz do kogo mówisz! — odezwała się z kolei drżącym głosem pani Amelia. — Zdaje mi się, że uznasz swój błąd i przeprosisz pana doktora, który jest na lepszym naszym przyjacielem!

Dziewczę nie odpowiedziało ani słowa, ale z twarzy jej poznać było można, że nie tylko nie myśli o przeproszeniu Harrasa, lecz przeciwnie, zastanawia się, czemby mu jeszcze lepiej dopiec.

Doktor jednak nie dopuścił do tej ostateczności i sam zakończył tę niemiłą scenę.

— Z staw pani pannę Albertynę w spokoju, pani Amelio! — rzekł łagodnie z pewnem odcieniem pobłażania w głosie. — Ja do jej zdania, podyktowanego przez młodociany nierozsądek, nie mam najmniejszej urazy. To, cośmy postanowili dokonać dla dobra twej kuzynki, moje dziecię i bez twojej pomocy potrafimy osiągnąć. Ale gdybyś przypuszczała, że działamy na szkodę Heleny i gdybyś podzieliła się z nią tem głupiem, bezpodstawnem zapatrywaniem, to wierz mi — tu głos doktora brzmiał groźbą — że potrafimy dla ciebie obmyśleć surową karę!...

Albertyna tupnęła z gniewem nóżką o podłogę.

— Wiem, że mnie tu nikt przed panem nie obroni! — odpowiedziała. — Ale niech-no pan nie zapomina, że są jeszcze ludzie, którzy się pana nie boją i kpią sobie z twojego gniewu, a do tych ludzi i ja mam honor się zaliczać! Mnie pan nie wsadzi do kryminału, panie doktorze!...

I dziewczę opuściło pokój, spoglądając na wszystkich z tryumfem. Franciszek i Amelia milczeli, a nawet doktor na razie stracił swoją zwykłą fantazyę i nie wiedział, co ma począć. Lecz wkrótce oprzytomniał, wziął kapelusz do ręki i zabierał się do wyjścia.

— Takiej przyjemności nie spodziewałem się nigdy w pańskim domu! — rzekł z tłumionym gniewem do Franciszka — daruje pan, ale w podobnych okolicznościach listownie chyba będziemy musieli załatwiać nasze interesy!...

Naturalnie ani Springer, ani pani Amelia z domu Burky, nie mogli pozwolić, aby doktor dom ich opuścił w takim humorze. Zaczęli go więc przepraszać i zatrzymywać, ale nie mało czasu i trudów kosztowało ich to, zanim wreszcie zdołali udobruchać doktora i skłonić go, by dalej pozostał.

A potem pani Amelia opuściła pokój i obaj mężczyźni zaczęli się znów szeptem naradzać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

LUDWIK STASIAK.

ZŁODZIEJE.

Z PAMIĘTNIKÓW NABOBA.

Oficyaliści moi byli przerażeni, urzędnicy oniemieli, dyrektor zaś mojego banku załamywał ręce, patrząc na to, co zamierzam czynić. W moim banku jednak ja jestem gospodarzem, fortuna zaś pozwala mi kosztem kilkunastu tysięcy zabawić się w psychologa. Poleciłem kasyerowi iść na spacer, dałem likwidatorowi tygodniowy urlop, sam zaś siadłem przy kasie. Studya moje ułatwiała mi okoliczność, że podówczas banknot na dziesięć dolarów był co do wielkości papieru równym banknotowi na tysiąc dolarów. To wyzyskałem, to mi pomogło do moich studyów.

Dziś ja wypłacam klientów mojego banku.

Zgłosił się woźny z drukarni, gdzie ja zamawiam moje handlowe cyrkularze. Znam tego nędzarza, bo on mieszka od lat pięciu w suterenach mojej kamienicy. Niema czem wyżywić pięciorga dzieci.

— A co tam?

— Oto rachunek drukarni.

— Ile wynosi?

— Dwieście dwadzieścia dolarów.

Zacząłem liczyć pieniądze. W paczkę dziesięciodolarowych banknotów wsunąłem zręcznie banknot na tysiąc. Podałem mu tysiąc dwieście dwadzieścia dolarów. Woźny pokwitował odbiór dwustu dwudziestu dolarów i poszedł. Patrzyłem przez okno kasowe do westibulu. Woźny liczy banknoty. Gdy znalazł pieniądz na tysiąc, przetarł oczy. Potem liczył raz jeszcze, drugi raz i trzeci raz. Następnie schował tysiąc dolarów do kieszeni i jeszcze raz paczkę banknotów przeliczył. Przekonawszy się, że jest tysiąc dwieście dwadzieścia dolarów, że to, co się stało, nie jest złudzeniem, ale prawdą oczywistą, podniósł oczy w górę. Na wynędzniałem, pergaminowem obliczu zjawił się uśmiech szczęścia. Ulga na tych licach. Usta szepczą:

— Boże! Boże! Boże!

Szybkim krokiem opuścił woźny pałac bankowy. Do okienka kasy zbliża się trzech nieznanych panów. Mówią do siebie:

— Napiłbym się szklankę portweinu.

— Zjadłbym teraz pół funta polędwicy.

— I jabym zjadł śniadanie — rzekł trzeci. — Ale za co?

— Bieda u nas, granicząca z nędzą.

— Ale uczciwość u nas wielka i cnota nieposzlakowana.

— A co tam? — zapytałem przybyłych.

— Racz pan zeskontować weksel naszego banku kredytowego.

— Na ile?

— Mała suma. Zaledwie pięćset dolarów.

Zacząłem liczyć banknoty. Do paczki dziesięciodolarowych banknotów wsunąłem zręcznie jeden banknot na tysiąc.

— Oto pięćset dolarów.

Ten, który mówił o cnocie nieposzlakowanej, zaczął pieniądze liczyć. Liczył je zrazu przy mnie i przy kasie, za chwilę jednak przestał liczyć, oddalił się od kasy, obrócił się do mnie tyłem, abym nie widział, jak on liczy. Rachował może dziesięć minut, może kwadrans. Pobiegł wreszcie do westibulu, gdzie byli jego towarzysze.

— Chodźcie na śniadanie!

— Kupisz portweinu?

— Portweinu ci kupię, dziesięć funtów polędwicy zjeść możesz. Ja płacę.

A do okna kasowego zbliżył się sędzia, który od swego kapitaliku procent w banku moim pobierał. Słynął on z wyroków sprawiedliwych i z nieposzlakowanego charakteru. Gdy zamiast dwudziestu dolarów, otrzymał tysiąc dwadzieścia dolarów, gdy przeliczył oddane pieniądze, pyta się mnie:

— Co to dzisiaj?

— Poniedziałek.

— Poniedziałek?! — zawołał z radością sędzia.

— Tak jest.

Sędzia biegł po schodach westybulu.

— Jak dobrze tydzień się zaczął! Jakto dobrze, że dziś poniedziałek!

Tymczasem do okna przyszedł filolog. Zamiast sto, dałem zręcznie tysiąc sto. Rachował je ośm razy i rzekł:

— *Melius mehercue, abundare quam deficere*!

A ksiądz pastor zbliżył się do mnie, szepcząc pobożne słowa modlitwy.

— Czego jegomość sobie życzysz?

— Niech imię Pańskie będzie błogosławione.

— Chwała Mu. Co jegomość powiesz?

— Pan nie wie? W banku tym są ulokowane fundusze naszego zboru.

— No, to cóż z tego?

— Zechciej mi pan na ten skrypt wypłacić trzysta dolarów. Trzeba kupić dachówkę na dzwonnicę.

— Trzysta dolarów?! Dobrze.

Z wielką zręcznością potrafiłem mu wsunąć tysiąc dolarów. Gdy się dokładnie przekonał, żem się oszukał o całe tysiąc, jął we westybulu odmawiać psalmy Dawidowe:

— Wysłuchałeś, o Panie, modlitwy mojej i nie wzgardziłeś głosem moim. Chwalcie Pana wszystkie ludy, albowiem spełniło się na mnie miłosierdzie Jego.

* * *

Jestem coraz bardziej rad i wesoły. O rozkoszy! Bałem się, że choć jeden odda. Że odda, że obali moją wiarę, moje przekonania. Nikt nie oddał! Wszyscy biorą, absolutnie wszyscy. Wszyscy z tą tylko różnicą, że teraz rozmaite banknoty ludziom daję. Biedniejsi kradną po dolarze, bogatszym trzeba wsunąć tysiąc, dziesięć tysięcy, milion. Ale weźmie każdy, bezwarunkowo każdy. Otóż to dobrze. Moje obserwacye znalazły potwierdzenie zupełne. Będę płacić dalej. Niech biorą. Stać mię na to. Idzie ktoś do okna. Dziwne indywiduum. Wygląda na poetę, który redaktorom wiersze robi, który na poddaszu ludzkość reformuje. Ma interes do kasy. Żąda wypłaty czeku. Do sumy, którą miał podjąć, dodałem mu zręcznie dwa tysiące. Gdy w westybulu przeliczył, wraca do mnie:

— Omyliłeś się pan.

Osłupiałem. Czyżby był taki na świecie? Zatem mam rozbić latarnię Dyogenesa, z którą uczciwego człowieka szukałem? Jestże taki? Jestże taki na świecie, któryby od Aleksandra Wielkiego żądał nie pieniędzy, nie urzędu, nie orderu, ale promienia słonecznego?! A więc jest? Ten?

— Omyliłeś się pan — powtarza nowy klient.

— Jakto?

— Dałeś mi pan o dwa tysiące więcej.

— No to oddaj pan — mówię rozzłoszczony.

— Proszę.

Ledwie położył pieniądze, ledwie wymówił to słowo „proszę“, wpadło czterech policyantów do banku. Na czele policyantów stał jakiś pan, który wrzeszczał:

— Wiązać! Wiązać!

Policyanci związali człowieka, wloką go przez westybul. Ja wypadłem z kasy, konwój policyjny w bramie dogoniłem i pytam:

— Dlaczego go aresztujecie?

— Bo on przed godziną uciekł z domu obłąkanych.

Kto go zna?

Jest w tej chwili w krakowskich aresztach policyjnych głuchoniemy człowiek, który podaje, iż nazywa się Maksymilian Krüger, urodził się w 1869 r. na przedmieściu Praga w Warszawie, jako syn Jana i Emilii, jest kawalerem, z zawodu powroźnikiem, wychował się w Regensburgu i pisze po niemiecku, lecz z błędami; podobno był w instytucie głuchoniemych w Warszawie, a następnie w Moskwie; ostatnio przebywał w Niemczech.

Ktoby o tym człowieku wiedział cokolwiek (obok podajemy jego podobiznę), zechce donieść o tem do Dyrekcyi policyi w Krakowie.

Zagadki do nagrody.

Rebus.

Szarady.

I.

Jeden dwa — dla ogrodnika
Mało znaczy... każdy przyzna.
Krzew *trzy jeden* – to trucizna,
Więc, niech każdy ją unika;
Bo ta *druga*... zdrowiu szkodzi —
Zatem baczność! wszyscy młodzi!...
Całość – niech was zawsze nęci,
I do zabaw doda chęci!

II.

Chcecie widzieć — *pierwsze trzecie*,
Co pamiątki polskie chowa?
Jedźcie państwo do Krakowa,
Bo tam tylko je znajdziecie.
Dwa raz – imię białogłowy –
Cały on – jest osobowy...

Arytmogryf.

Ułożył W. K.

					22					
				6	12	21				
			15	1	9	1	19			
		10	8	16	24	21	7	12		
	14	8	19	8	7	19	8	22	8	
7	13	3	12	7	12	20	13	16	3	24
	20	4	10	24	22	13	4	21	7	
		7	8	4	8	14	12	3		
			11	8	9	24	7			
				6	24	10				
					7					

Zamienić liczby na litery, aby utworzyły 11 wyrazów o następujących znaczeniach:

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę.
3. Mieszkaniec gór.
4. Poeta polski.
5. Miasto nad morzem Czarnem.
6. ?
7. Miasto w Galicyi.
8. Broń palna.
9. Imię męskie.
10. Prowincya afrykańska.
11. Spółgłoska.

Środkowe litery, czytane w pionowym i poziomym kierunku, dadzą dwie komedye polskie: 1. Z. Przybylskiego i 2. A. Walewskiego.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych, przeznaczy: **„Wieści z nikąd“** Wiliama Morio.

Rozwiązania z Nru 39.

Rebus: W uroczym i walecznym kraju zostawiły ślady mordy i pożogi.

Szarady: Krynolina — Kawiarnia.

Arytmogryf: Lenartowicz — Zachwycenie.

Kryptogryf: Marya Konopnicka.

Dobre rozwiązania nadeklali PP.: Kasyno w Uhnowie, K. Chodkiewicz Zbydniów, J. Badura Rożdzień, W. Pisiewiczowa Śniatyn, K. Fucho Peczeniżyn, A. Skulski Lwów, D. Orłowski Stanisławów, H. Mokrzycka Turbia, W. Stańkowski Czerniowce, M. Opolska Czarny Dunajec, T. Doma... Sanok, St. Bassara Niwiska, M. Arbesbauer Lwów.

Dobrze znana.

Ciekawy wypadek miał miejsce przed paru dniami. Jakiś elegancki jegomość uporczywie wpatrywał się w panią X. żonę szlagona z pod Przemyśla.

— Mój panie łaskawy — odzywa się oburzony szlagon — skąd pan właściwie przychodzi fixować mą żonę.

— Ależ panie — odpowiada zapytany — znam ją bardzo dobrze.

— To może każdy powiedzieć, mój panie! — woła oburzony szlagon.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.